

szurm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo-radykalny nr 11/2021 (86) ISSN 2450-5439



SZTURM.COM.PL

Spis treści

Grzegorz Ćwik - Ostatnie pokolenie buntu	3
Grzegorz Ćwik - Ukryty w mieście krzyk	8
Monika Dębek - Miłość do ojczyzny na emigracji	11
Łucja Dzidek - Ania z Tęczowego Wzgórza	14
Łucja Dzidek - „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”	19
Jakub Ignaczak - Międzymorze – niezrealizowane marzenie czy realny projekt	25
Krzysztof Kołodziejcki - Dom	33
Korneliusz Niebudek - Ecclesia Militans XXI wieku	40
Michał Niecki - Czego dziś uczy nas marszałek Piłsudski	43
Michał Niecki - Rola inteligencji.....	50
Michał Niecki - Zadanie piękna.....	56
Patryk Płokita - Wiersze.....	60
Norbert Wasik - "Nasze kamienice, wasze ulice", czyli rzecz o mieszkaniach i zagranicznych funduszach inwestycyjnych.....	62

Grzegorz Ćwik - Ostatnie pokolenie buntu

W kultowym filmie „Hubal” w jednej z najbardziej znanych scen z tego dzieła tytułowy major, po tym jak odczytuje żołnierzom rozkaz generała Kleeberga o kapitulacji, rzuca sławetne „A więc w całej Polsce tylko my!”. Niestety dziś ta scena ma swoistą, jakże aktualną wymowę. Pośród nawały liberalizmu i nowej lewicy, pośród zdrady i zaprzaństwa prawicy, pośród sprzedawczyków i tych, którzy tylko chcą się ustawić i nachapać, my nacjonałiści spod sztandaru narodowego radykalizmu możemy powiedzieć to samo – w całej Polsce tylko my.

Co gorsze, obserwacja dynamiki zmian zachodniego świata każą sądzić, że Spengler miał rację i wszelkie imperia po okresie rozkwitu popadają w regres, upadek, dekadencję i wreszcie obumierają, by zrobić miejsce nowej sile. Świadomość tego sprawia, że być może jako pierwsze pokolenie w historii mamy szansę odwrócić, przynajmniej częściowo, ten proces.

Jako pierwsze pokolenie – i jednocześnie jako ostatnie pokolenie buntu. Stoją za nami liczne szeregi tych, którzy bili się za nasz kraj i ziemię. Żołnierze, bojownicy, Legioniści, powstańcy, rebelianci, konspiratorzy. Stoją za nami ci, którzy zwyciężali, ci którzy przegrywali, ci którzy w czasie beznadziei dbali o święty ogień idei, aby nie zgasł do reszty. I cóż, po to było to wszystko, aby teraz Polskę zdmuchnęła fala ignorantów modlących się do świętej unii europejskiej, religii prawocłowieczej i chcących zamienić brudnego, głupiego i rasistowskiego Polaka na wymarzonego imigranta, który oczywiście ubogaci kulturowo nasz kraj? Biorąc pod uwagę i długość naszej historii i jej zwykłe momenty, to koniec taki jawi się cokolwiek jako żenujący i nieadekwatny.

Ale przecież walczymy! Cały czas istnieje Polska, z grubsza jednolita narodowo i etnicznie. Tyle dobrze, że w swej skrytej polityce popierającej masową migrację do Polski PiS postawił raczej na Ukrainę czy Białoruś, a w dużo mniejszym stopniu Pakistan czy Bangladesz. Jakkolwiek szybko odrabiamy dystans do degrengolady Europy zachodniej, to nie zmienia faktu, że jeszcze sporo nam brakuje i pokłady typowo ludowego zdrowego rozsądku, zwłaszcza na prowincji, są spore. Do tego rządzi partia, która w optyce Dukaja z książki „Lód” jest typowym „zamrażaczem” sytuacji, który daje nadzieję, że czasu jest troszkę więcej, niż w innej sytuacji.

Wszystko to jednak nie zmienia jednego, podstawowego faktu – jesteśmy ostatnią linią obrony. Nie tylko i nie tyle w znaczeniu takim, że za nami już nikt więcej nie podejmie się obrony starego świata, ale przede wszystkim w tym, że jeśli my nie zmienimy sytuacji, to po nas już nie będzie takiej możliwości. Mamy w większości przeciętnie 20-30 kilka lat, to znaczy, że przed nami przeciętnie około pół wieku życia. Jeśli nie zrobimy nic, by ograniczyć zgubny wpływ lewicy i liberałów na nasz Naród i całą Europę, to przy tej dynamice, można spokojnie przyjąć, że za pół wieku Polski nie będzie, albo stanowić będzie całkowitą wydmuszkę, pozbawioną swej kultury, etniczności i tradycji. Dotyczyć to będzie zresztą każdej europejskiej nacji. Samo oczekiwanie na upadek USA i przez niektórych spodziewany tym samym upadek antyludzkich ideologii jest raczej bezsensowny, przecież łatwo sobie można wyobrazić, że nowe lewicowe i kapitalistyczne prądy będą dalej współistniały, mimo zmiany biegunów geopolitycznych. Nie ma też co liczyć na to, że Chiny czy jakakolwiek inna potęga będą je specjalnie jakoś zwalczać, skoro już teraz rząd pekiński finansuje ruch Black Lives Matter.

Jesteśmy ostatnim pokoleniem buntu. Jeszcze 20 lat temu nasza rzeczywistość była pełna subkultur i to nie zaćpanych i śmierdzących hippisów, ale skinów, punków, hiphopowców etc. To z definicji były ruchy antysystemowe i do tego obecne na ulicach, osiedlach i

zgnębionych zbrodniami Balcerowicza blokowiskach. Nie ufano wówczas z definicji politykom, policji, mediom i gadającym głowom z telewizji. Do tego zdroworozsądkowość była w cenie, stąd ruchy lgbt, feministyczne i inne antycywilizacyjne ruchawki były ograniczone do autentycznego marginesu, o którym się nie słyszy i nie mówi.

Wraz z wstąpieniem do Unii i całym procesem „integracji” sporo się niestety zmieniło a kolejnym władzom udało się wykreować mit Unii, który Polacy, spragnieni dobrobytu i stabilizacji, łyknęli z łatwością doprawdy zadziwiająca. I tak bunt z wolna, lecz sukcesywnie i konsekwentnie zamienił się w materializm, idiokrację i kompletne wypłukanie z intelektualizmu. Efektem tego jest książkowe „społeczeństwo spektaklu”, gdzie liczą się udawane emocje, reżyserowane scenki dla ludu i sztuczne emocje, a rzeczywiste interesy załatwiane są z daleka od wzroku publiczności.

Jesteśmy ostatnim pokoleniem buntu. Ostatnim pokoleniem, która w ogóle wie i pamięta co to jest bunt oraz to, że w ogóle można się buntować. Jesteśmy ostatnim pokoleniem, które rozumie w jak głębokim syfie tkwimy i jak bardzo potrzebny jest opór przeciwko temu. W sercach i duszach niesiemy obraz normalności, do którego dążymy i o który walczymy. Następne pokolenia będą już całkiem przeżarte hedonizmem i wykolejeniem, które reprezentują choćby Mata i Young Leosia. To my, dzieciaki wychowane w brudnych latach 90-tych, dzieciaki pamiętające „reformy” Balcerowicza, dzieciaki słuchające oldschoolowego hip-hopu, punka, racu i metalu – my jesteśmy ostatnią linią zapory i pokoleniem, które rozumie kim jest, skąd pochodzi i jakie ma przed sobą cele.

Tak, w całej Polsce tylko my. W całej może Europie tylko my, garstka idealistów, rebeliantów, aktywistów. Wiemy, że prawica i jej polityczne emanacje nas zdradzą, tak samo dobrze wiemy, że lewica i liberałowie przeżarci są rakiem autodestrukcji, na który nie ma lekarstwa. To co oni

nazywają radykalizmem, ekstremizmem jest w gruncie rzeczy tęsknotą za powrotem normalności i tego co czyste i zdrowe. Nawet jeśli nie doświadczyliśmy tego za bardzo, to podskórnie czujemy czym ta normalność powinna być i tym silniejszy jest nasz bunt i nasza niezgoda na panujące *status quo*.

Nie możemy pozwolić by ten ogień w naszych sercach zgasł, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę jak liczne pokolenia stoją za nami, jak również przed nami, aby zastąpić nas w dziejowym procesie rozwoju Narodu. Poddać się teraz to pozwolić ostatecznie na zniszczenie Narodu i całego, ponad tysiącletniego dorobku naszych Przodków. Niejednokrotnie już w historii garstka zapaleńców potrafiła odmienić świat i zmienić losy swego Narodu – żeby wspomnieć tylko Strzelców w 1914 roku, żołnierzy Garibaldiiego czy rewolucjonistów Castro.

Dlatego też naszym obowiązkiem jest walczyć, wierzyć i nie kalkulować zbyt, jeśli idzie o szanse na zwycięstwo. Nie wiemy co przyniesie przyszłość, a nasza opinia co do perspektyw może być z gruntu nieprawdziwa, a przez to szkodliwa. To, że komuś z nas będzie się wydawać, że to co robimy pozbawione jest szans na sukces, nie znaczy, że tak jest, ale że ktoś ma po prostu takie subiektywne zdanie. Jesteśmy tylko jednym z kolejnych elementów dziejowego procesu trwania i rozwoju naszego Narodu. Niezależnie od wahań i wątpliwości naszym zadaniem jest trwać i walczyć.

Musimy zrobić wszystko, wszelkimi sensownymi metodami, aby choć trochę wlać normalności do panującego porządku. Trwający kryzys i z wolna kompromitujący się anarchiści, liberałowie i kosmopolici być może nieświadomie stwarzają nam szerokie pole do działania i odzyskania utraconych pozycji. Tej szansy już naprawdę nie możemy stracić.

- - -

Ostatnie pokolenie buntu. Jeszcze niedawno to mogło brzmieć jak ładne, pompatyczne hasło propagandowe, dziś jest smutną i surową prawdą. Jeśli nie my, to nikt. Jeśli my, to cała przyszłość przed nami i Narodem. Być może nawet nie przypuszczamy jak ogromna jest stawka i ile możemy wygrać, a ile przegrać. Dlatego też porzucmy wątpliwości, rozterki, momenty słabości i zrywajmy się śmiało Szturmem w Historię.

Ostatnie pokolenie buntu to właśnie my.

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ćwik - Ukryty w mieście krzyk

Liberalizm to samotność i rozerwanie wszelkich międzyludzkich więzi. Nie rozmawiamy ze sobą, nie wymieniamy myśli, jedynie patrzymy na siebie z boku i z rytmu kroków staramy się wyciągać jakieś wnioski.

Wokół nas tak wiele bloków, tak wielu ludzi, a tak mało uczuć, emocji – tych prawdziwych, tak mało szczerości. W kapitalizmie liczy się tylko pieniądz i pozycja.

Ze strony państwa i mediów też raczej nie mamy co liczyć na zbyt dużo. Co najwyżej na spisanie protokołu, albo kolejną „rewolucję roku”.

Nie mamy wiele – tak jak większość naszych rodaków. Nasza postawa, idea i poglądy to nasza duma i honor.

Boli nas niesprawiedliwość, korupcja, upadek, hedonizm. Dlatego nacjonalizm, to jedyna szansa na zrozumienie tego chorego świata i jego naprawę.

A jeśli już chcą nas oceniać i mówić o naszych poglądach, to może niech najpierw je sprawdzą? Wystarczy poczytać, posłuchać, wyciągnąć wnioski. I nie, nie u Witkowskiego czy Pankowskiego.

Każdy w tym kraju dąży do stabilizacji finansowej i materialnej, oraz wysokiego statusu. Masz pomysł co w tym temacie doradzić młodym chłopakom i dziewczynom?

Biorą nacjonalistów za przestępców, ekstremistów, łykają jak młode pelikany obraz propagandowy sączący się z tabloidów i bezwartościowych

szmatławców. Paradoks polega na tym, że nie chcą nas i wstydzą się nas ci, o których walczyliśmy i się bijemy.

Mimo, że nie jesteśmy ani ja ani Ty superbohaterem, bogaczem czy celebrytą, to ten system i tak chce wyrwać Ci tę resztkę wolności, własności i praw, które jeszcze nam przysługują.

Nawet nasi bliscy potrafią wątpić w to co robimy i o co walczymy, w sens naszej misji. Niektórzy nie są przez to w stanie wytrwać, gdy rodzina i przyjaciele kompletnie nie wierzą w nasz aktywizm.

W tłumie tym bardziej jesteśmy sami. Mimo, że świat nas zmusił do buntu, to czas buntowników jednocześnie minął i chyba jeszcze nie nadszedł.

I dlatego wytrwamy – w świecie martwych prezydentów, rezydencji pełnych smutku i przepychu, w świecie ogłupienia i skundlenia zwyciężymy.

Chcemy tylko naszą wolność.

- - -

Nie chcemy uczestniczyć w codziennym wyścigu szczurów, ale często to jedyna szansa na godne lub chociaż w miarę godne życie. Pomimo bowiem spełniania neoliberalnych wymogów świat z billboardów pozostaje takim samym kłamstwem jak wczoraj.

Świat, który nas otacza zdradę traktuje nie jako niewybaczalne zło, ale jako jedną z dostępnych opcji i możliwości. Dzień w dzień spece od marketingu ludzkich dusz próbują nam ukraść życia, słowa, emocje.

Mamy niewiele, ale żyjemy przede wszystkim myślą o lepszym jutrze – nie dla siebie tylko, ale przede wszystkim dla Narodu.

I nas, i ludzi wokół ten świat uczy wyłącznie bycia sukinsynem. Doprawdy ciężko nieraz w takim klimacie o idealizm. Zwłaszcza gdy, ci o których dobro walczymy, potrafią odpłacić wyłącznie niktzemnością.

Lecz może właśnie w tym jest sens tej walki? Wszakże nic o nas bez nas.

- - -

My, ukryty w mieście krzyk.

Grzegorz Ćwik

Monika Dębek - Miłość do ojczyzny na emigracji

Miłość do ojczyzny niejedno ma imię i może być okazywana na bardzo różne sposoby. Także poza granicami naszego kraju. Sytuacja w Polsce od wielu lat jest bardzo nieciekawa. Kiepskie zarobki, nieadekwatne do wykonywanej pracy, brak często możliwości startu w dorosłości dla młodych ludzi w godny sposób, zmusiła wielu naszych rodaków do wyjazdu za granicę. Problematyka emigracji nie dotyczy tylko młodzieży, ale także osób starszych, a nawet emerytów, którzy chcą dorobić do swojej wypłaty.

Smutny, jest fakt, że wyjechać z Polski musiało wielu patriotów czy nacjonalistów, którzy mieli problem z życiem w godnych warunkach. Pociuszające jest, iż wielu z nas nawet bardzo daleko od domu, jest wiernymi swojej ojczyźnie orłami i nie tylko o niej pamięta, ale także walczy i pracuje na jej rzecz każdego dnia.

Polacy, podejmując pracę zarobkową na emigracji, często wysyłają do swoich bliskich osób pieniądze, pomagając im w trudach codzienności. Nasi rodacy nie tylko pomagają rodzinom, ale także dalszym osobom, a także przeznaczają wiele środków pieniężnych na cele charytatywne. Pieniądze zarobione za granicą są zatem wykorzystywane w pozytywny sposób na terenie Polski, pozytywnie wpływając na rodzinną gospodarkę.

Nasi rodacy, przyjeżdżają do Polski, niektórzy nie tylko w okresie swojego urlopu, ale także przez cały rok, dokonując konsumpcji i zakupów produktów. Dobrze jest, jeśli są do rzeczy wyprodukowane przez polskich producentów. Polacy korzystają z usług, a także z różnego rodzaju dostępnych rozrywek.

Polscy nacjonaści są bardzo aktywni także w obcych krajach. Promują często w bardzo pozytywny sposób nasz kraj. Rodacy pamiętają o polskich bohaterach pochowanych na obcej ziemi, pielęgnując ich groby. Polacy nierzadko organizują różnego rodzaju imprezy dla innych emigrantów. Mają one na celu szeroko pojętą promocję Polski na arenie międzynarodowej. W uroczystościach tych często uczestniczą obcokrajowcy, którzy poznają nasze obyczaje, kulturę, a także mogą poznać nas od pozytywnej strony. Nasi Bracia za granicą przełamują negatywne stereotypy Polaka, które są znane w opinii od wielu, wielu lat.

Bardzo popularny za granicą, jest także Narodowy Solidaryzm. Wielu naszym rodakom nie do końca lub w ogóle nie układa się w innych krajach. Żyją często w bardzo skromnych warunkach, w pracy traktowani są niczym tania siła robocza, a często niestety kończą na ulicy jako osoby bezdomne i bezrobotne. Polacy, którym wiedzie się w Polsce, pomagają na przykład innym wrócić do ojczyzny. Prowadzą także działania charytatywne, które mają na celu pomoc wyjść z bezdomności dla innych. Robią również zbiórki pieniężne, dostarczają żywność, pomagają znaleźć godną pracę, a także porozumieć się w obcym języku w życiu codziennym. Doskonałym przykładem działalności na terenie różnych krajów europejskich i nie tylko jest Brygada Zagraniczna Obozu Narodowo-Radykalnego. Rekrutacja do organizacji prowadzona jest nie tylko w Polsce, ale także na terenie innych państw. Dzięki działalności ONR poza Polską jest możliwość wspierania Ojczyzny poza nią. Każdy działacz ma możliwość realizować się i działać na rzecz Polski nie tylko na jej obszarze. Wielką Polskę można przecież wykuwać, nie tylko przebywając na jej terenie. Dołączenie do Brygady Zagranicznej nie jest niczym trudnym. Wystarczy wysłać ankietę poprzez formularz Onr.com.pl. Warto łączyć się w jedność z innymi Polakami w innym kraju i pokazywać, że my także potrafimy tworzyć piękną całość. Miłość na emigracji do Ojczyzny może być także bardzo owocna i przynoszącą wiele ciekawych i pozytywnych skutków.

Nie zrażajmy się zatem faktem, że często jesteśmy daleko od ojczyzny orlich gniazd. Działajmy na terenie całego świata.

Monika Dębek

Łucja Dzidek - Ania z Tęczowego Wzgórza

Nie jest szczególnym zaskoczeniem, że współczesne adaptacje znanych od lat tekstów kultury bardzo często odbiegają od swoich pierwowzorów. Nikogo nie zaskoczę też twierdząc, że dzisiejsza popkultura w największym stopniu odpowiada za kształtowanie wartości, poglądów i postaw, zwłaszcza u młodych ludzi. Dzisiaj chciałabym podzielić się swoją recenzją trzech sezonów serialu Netflixa pt. „Ania, nie Anna” (ang. „Anne with an „e”), którego fabuła bardzo luźno bazuje na cyklu powieści Lucy Maud Montgomery pt. „Ania z Zielonego Wzgórza”. Akcja ma miejsce w ostatniej dekadzie XIX wieku w Kanadzie.

Pod względem zdjęciowym, kostiumowym oraz jakości gry aktorskiej serial, adresowany do widzów od trzynastego roku życia, jest naprawdę udaną produkcją. Amybeth McNulty, aktorka wcielająca się w główną bohaterkę, bardzo przekonująco wypadła w swojej roli. Plusem dostrzegalnym już w pierwszym sezonie jest lekki skręt od sielankowego klimatu literackiego pierwowzoru w stronę bardziej dojrzałych, mrocznych wątków, takich jak przeżycia Ani z sierocińca oraz czasu służby u wielodzietnej, patologicznej rodziny. Poruszony zostaje temat przemocy wobec dzieci, przemocy rówieśniczej oraz życia w skrajnej biedzie i wyzysku. Wątek przemocy seksualnej, której świadkiem była Ania, zostaje zarysowany nienachalnie, z szacunkiem dla wrażliwości młodego widza. W sposób przystępny dla współczesnego nastolatka serial bezkompromisowo ukazuje XIX-wieczne realia życia bezmyślnie płodzonych dzieci, które od najmłodszych lat, pozbawione edukacji, odpowiedniej opieki i bliskości rodziców musiały ciężko pracować na swoje utrzymanie. Poruszenie takiej tematyki w produkcji kierowanej do młodzieży żyjącej w epoce największego dobrobytu w dziejach uważam za bardzo trafione.

Już w pierwszych odcinkach wprowadzony zostaje wątek braku akceptacji, z jakim musi mierzyć się Ania po przybyciu do Avonlea, gdzie wreszcie znajduje kochającą rodzinę w osobach Maryli i Mateusza Cuthbertów. Matki miejscowych dziewcząt, choć czerpią postępowe wzorce z elitarnych środowisk, w których brylują, są entuzjastkami edukacji kobiet i chcą wychowywać swoje córki w duchu nowoczesności i otwartości umysłu, nie potrafią zrozumieć perspektywy doświadczonej przez los dziewczynki, dopatrując się w niej zagrożenia i źródła problemów. Bardzo pozytywnie na ich tle wyróżnia się niezbyt bogata i mało obyta w świecie Maryla oraz jej sąsiadka i najbliższa przyjaciółka, konserwatywna, surowa i grubiańska Małgorzata, które, choć początkowo równie uprzedzone i niechętne, pod wpływem Ani, jej energii, żywej wyobraźni i otwartości na drugiego człowieka rozwijają swoją wrażliwość i empatię. Bohaterowie serialu, łącznie z główną bohaterką, to ludzie z krwi i kości, autentyczni, posiadający wady i przywary, popełniający błędy. Serial, choć nie stroni od mocnej tematyki i nie oszczędza bohaterów, utrzymany jest w klimacie radosnego, rodzinnego ciepła, opowiada o przyjaźni, dorastaniu, wierności, oddaniu i altruizmie.

W pierwszym sezonie możemy obserwować przemiany, jakie zachodzą w głównych bohaterach. Choć z pewnością prezentują one walor edukacyjny i z założenia mają nieść pewne wartości, czego zresztą oczekiwać możemy od kina rodzinnego, przekaz jest subtelny, raczej skłaniający do refleksji niż narzucający widzowi, co ma myśleć. Przykładem może być scena, gdy Małgorzata, która odchowała dziesięcioro dzieci, radzi Maryli stosowanie wobec Ani kar cielesnych. Argumentuje o wysokiej skuteczności tej metody wychowawczej i wspomina, jak sama ukarała swojego syna, gdy ten podpalił w domu zasłony. Wówczas Maryla, po chwili zadumy, pyta: - To było przed czy po tym, jak spalił wam stodołę?

Drugi sezon obiera zupełnie inny kurs. Nie próbuje udawać ani tego, że cokolwiek go łączy z książkowym pierwowzorem, ani że jego głównym i nadrzędnym celem nie jest umoralnienie odbiorcy. Propaganda zaczyna być podawana w ilości kompletnie niestrawnej, a widzowie bezceremonialnie traktowani są jak masa do urobienia. Poznajemy bogatą i hojną ciotkę Diany, która wyprawia przyjęcie w rocznicę śmierci swojej „przyjaciółki”, z którą przez wiele lat mieszkała pod jednym dachem. Ania, oczarowana urokiem osobistym Józefiny, zaczyna wyznawać pogląd, że małżeństwo jest przereklamowane. Zdaniem czternastolatki, instytucja małżeństwa powinna zostać zastąpiona instytucją „miłosnej relacji”, w której, zamiast męża lub żony, mielibyśmy towarzysza lub towarzyszkę życia - w oryginale pada niewskazujące na płeć określenie „lifemate”, przy którym Ania sugestywnie podkreśla w rozmowie ze swoimi konserwatywnymi wychowawcami, że jej zdaniem prawo do wejścia w taką relację powinien mieć każdy. Diana nie podziela entuzjazmu Ani – gdy odkrywa, co naprawdę łączyło Józefinę z Gertrudą, nie kryje wstrząsu i oburzenia. Po czasie jednak zaczyna rozumieć popełniony błąd i przeprosza ciotkę „za swoją głupotę i zaślepienie”. Skłania ją do tego przykładna postawa Ani oraz przypadek Cole’a, ich szkolnego kolegi, który zaczyna rozumieć, że „jest taki sam” jak Józefina oraz zdawać sobie sprawę, dlaczego szkolny nauczyciel, pan Phillips, tak bardzo go nienawidzi. Wymowna scena między chłopakiem i mężczyzną, gdy obaj schylają się po kawałek kredy, wszystko tłumaczy. Ostatecznie, wrażliwy młodzieniec rezygnuje ze szkoły. Robi to w tajemnicy przed bliskimi - zamiast pomagać im w gospodarstwie, woli spędzać dni na rysowaniu i rzeźbieniu. Gdy zacofana rodzina odkrywa prawdę i żąda od chłopaka podjęcia pracy lub powrotu do nauki, naprzeciw potrzebom artystycznej duszy wychodzi wspaniałomyślna Józefina, oferując Cole’owi możliwość zamieszkania z nią oraz pełne utrzymanie. Od tej pory, w przeciwieństwie do swojej wieśniaczej rodziny, młodzian chodzić będzie we fraku, pić wytworne trunki i brylować na wytwornych przyjęciach, mogąc bez reszty oddawać się sztuce. Równie hojny okazuje się Gilbert Blythe, który, po śmierci swojego ojca, będąc jedynym właścicielem domu

oraz pola, połowę udziałów w swoim dobytku przepisuje Sebastianowi - swojemu czarnoskóremu przyjacielowi, pochodzącemu z niewolniczej rodziny, którego zaczyna traktować jak własnego brata.

Trzeci sezon rozpoczyna się wizytą Ani w wiosce Mikmaków, gdzie ta zaprzyjaźnia się z Ka'kwet, późniejszą wychowanką niesławnej kanadyjskiej szkoły rezydencjalnej (residential school). Pisze też felieton do lokalnej gazety, w którym stwierdza, że kobieta nie powinna być dotykana przez mężczyznę bez własnej zgody czy traktowana jak towar na rynku matrymonialnym, co jednak wszystkich gorszy i oburza. Puentą felietonu jest stwierdzenie, że kobieta ma wartość niezależną od mężczyzny i taką samą jak mężczyzna – oczywiście, co musiało wyraźnie wybrzmieć, „od urodzenia”. Po tym wystąpieniu dziewczyna jest szykanowana przez władze miasta. Ta dramatyczna historia kończy się manifestem w ratuszu, gdzie Ania i jej przyjaciele głoszą, że wolność słowa to „prawo człowieka”.

Wzorem tolerancji i otwartości stają się także Maryla i Małgorzata, które, z braku własnych zajęć, po śmierci żony czarnoskórego przyjaciela Gilberta, Sebastiana, zaczynają nieodpłatnie u niego sprzątać, gotować, prać oraz zajmować się jego bobasem. W wymownej scenie, gdy kobiety, klęcząc, szorują podłogę i zaczynają tłumaczyć się, dlaczego jeszcze nie ma obiadu, pojawiają się żarty o białych niewolnicach. Zarysowany zostaje też wątek nawiązywania bliższej relacji między Sebastianem a białą nauczycielką lokalnej szkoły, który z pewnością zostałby pociągnięty w kolejnym sezonie, gdyby ten miał powstać. Przez decyzję o zakończeniu produkcji urwany został również wątek Ka'kwet.

Połączenie fabuły „Ani z Zielonego Wzgórza” z pewnymi wątkami historycznymi, rozgrywającymi się w tamtych czasach w Kanadzie, mogło być interesującym i udanym zabiegiem – wszak, co należy podkreślić, dzieło filmowe, będące odrębnym utworem, nie ma obowiązku stanowić

wiernej adaptacji literackiego pierwowzoru. Gdy jednak do scenariusza wplatane są wyświechtane już wątki współczesnej popkultury, niemające żadnego umocowania ani w treści literackiego pierwowzoru, ani w realiach historycznych, w których osadzona jest akcja, a bohaterowie nagle zaczynają zachowywać się zupełnie absurdalnie lub jakby na pokaz, produkcja staje się przekazem czysto ideologicznym. Jak widzimy na przykładzie adaptacji opowieści o Ani z Zielonego Wzgórza, nawet pod tak niepozornym tytułem, adresowanym do najmłodszych widzów, kryć się może promocja filozofii „praw człowieka”, akceptacji dla niemoralnych zachowań seksualnych czy normalizacja związków międzyrasowych, podszyta pogardą dla białej rasy. Choć odbiorca z naszego kręgu kulturowego mógł przeoczyć to ostatnie, warto wziąć pod uwagę, że produkcja powstała w Kanadzie i kierowana była głównie na rynek amerykański. W tym kontekście ukazanie białych kobiet służących czarnoskóremu mężczyźnie zyskuje dość konkretny wydźwięk. Choć taki przekaz nie wpisuje się (jeszcze!) w europejskie realia i mentalność, stanowi niejako przedsiomek do oswojenia naszych dzieci ze zjawiskiem wielokulturowości, mieszania się ras i wpojenia im swoistego poczucia winy związanego z przynależnością do „uprzywilejowanej” grupy etnicznej. Afirmacja homoseksualizmu i „praw człowieka”, niestety, obecna jest w już ugruntowanych europejskich trendach, w które kanadyjska produkcja jak ulał się wpasowuje.

Amerykańska kultura, włącznie z produkcjami filmowymi i serialowymi, zalewa nas już od kilkadziesiąt lat, kreując wzorce myślenia i postępowania, za którymi podąża europejska młodzież. Choć nie jest to jedyne źródło zepsucia, rodzice i wychowawcy muszą dzisiaj wykazywać się dużą dozą świadomości, by móc mierzyć się z przekazem, jaki płynie z tego typu źródeł i odpowiedzialnie polecać swoim podopiecznym materiały rozrywkowe i edukacyjne.

Łucja Dzidek

Łucja Dzidek - „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – pisał Jan Zamoyski. Trudno nie zgodzić się ze stwierdzeniem, że wychowanie dzieci i młodzieży jest kluczowym aspektem, na którym należy się skupić, jeśli ważne są dla nas losy naszej Ojczyzny oraz Europy. Zaraz po domu rodzinnym, środowisko szkolne stanowi najważniejszy czynnik wpływający na kształtowanie systemu wartości młodego człowieka. Szkoła, poza celem, jakim jest przekazywanie wiedzy, jest odpowiedzialna także za wychowanie młodego pokolenia, będące uzupełnieniem i wsparciem wychowania odbieranego w rodzinie. Zdają sobie z tego sprawę różnej proweniencji liberałowie, którzy nie bez przyczyny ze swoim przekazem wchodzą w szkolne mury, propagując tam „tęczowe piątki”, warsztaty z „przeciwdziałania dyskryminacji” czy zajęcia „edukacji seksualnej”, będące w istocie nie samą edukacją, lecz formą wychowania człowieka do określonych postaw i poglądów.

Liberalne organizacje mają szerokie pole do działania, gdyż wypełniają niszę dotychczas niezagospodarowaną – odpowiadają na zainteresowania oraz potrzeby młodych ludzi, takie jak rozmowy na temat seksualności czy chęć czucia się w szkole bezpiecznym, zrozumianym i szanowanym. Kwestia jakości tej odpowiedzi i stojącego za nią zaplecza ideologicznego jest już inną sprawą. Dopóki jednak młodzież pozostawiona będzie sama sobie z naturalną dla tego etapu rozwoju presją poszukiwania akceptacji w grupie rówieśniczej i potrzebą szukania własnej tożsamości oraz skazana na czerpanie informacji na temat ludzkiej seksualności z pornografii czy rozmów w szkolnej toalecie, dopóty będzie łatwym łupem dla promotorów alternatywnych wizji społeczeństwa, rodziny i samego człowieka.

Rodzice, których dzieci po latach nauki za granicą przeniosły się do polskich szkół, zwracają uwagę na przeciążenie programem nauczania, brak zajęć praktycznych i przestrzeni na własne dociekania, dyskusje, kreatywną pracę. W polskiej szkole nauka to pamięciówka. Musisz umieć wymienić wszystkie dopływy Wisły, znać rozmieszczenie kopalń na mapie Polski i mnóstwo liczb, takich jak poziom zasolenia gleby czy długość linii brzegowej – nikt nie pyta po co. Musisz wykuć na pamięć wzory na zasięg i maksymalną wysokość rzutu ukośnego, choć występują w nich funkcje trygonometryczne, których jeszcze nie znasz. A musisz je wykuć, bo nie zrozumiesz wyprowadzenia, dopóki nie przerobisz tematu funkcji kwadratowej – tymczasem program matematyki kompletnie nie współgra z programem fizyki. Musisz też znać wzór na powiększenie mikroskopu i nazwy całego szkła laboratoryjnego, choć zobaczysz te sprzęty jedynie na zdjęciu w podręczniku. Historia to kucie dat i nic niemówiących człowiekowi nazwisk, no i regulek. Regułki są zresztą wszechobecne – wiele lekcji polega na dyktowaniu do zeszytów bloków tekstów, przeznaczonych do pamięciowej nauki, czy wręcz na przepisywaniu podręcznika.

W takim systemie nie ma miejsca na rozwijanie zainteresowań dziecka – uczeń wraca do domu po ośmiogodzinnym dniu szkolnym, po czym czeka go jeszcze odrobienie lekcji, nauka wiersza i powtórka przed sprawdzianem. Jedynie najzdolniejsi mają czas na zajęcia pozalekcyjne i jakikolwiek czas dla siebie. Polska szkoła nastawiona jest nie na rozwijanie zdolności uczniów, ale na wypuszczanie w świat ludzi myślących „pod klucz”, mających wiedzę encyklopedyczną z każdej dziedziny i jednocześnie żadnej pogłębionej; wiedzących, ale nie rozumiejących. W pierwszej i drugiej dekadzie XXI w., gdy jeszcze sama chodziłam do szkoły, uczniom powtarzano, że olimpiady są tylko dla prymusów; priorytet to przedmioty szkolne. Do poszerzania swojej wiedzy z fizyki mogłam osiąść dopiero po zrobieniu wielkanocnego

koszyczka na plastykę, przygotowaniu prezentacji na temat lektury i wypełnieniu kserówek z angielskiego, z którego piątka na koniec gimnazjum nijak miała się do moich umiejętności językowych w praktyce. Odnoszę wrażenie, że do tego czasu wiele się nie zmieniło.

Podstawowym problemem polskiej szkoły jest postawienie sobie za punkt honoru konieczności „wszechstronnego wykształcenia” człowieka, co w praktyce sprowadza się do uczenia wszystkiego po trochu i niczego porządnie. Uważam, że moment pójścia do szkoły średniej to zdecydowanie za późno na wprowadzenie specjalizacji w nauczaniu, a i to jest śmiechu warte – specjalizacja polega na zwiększeniu liczby godzin zajęć z przedmiotów kierunkowych bez żadnej znaczącej redukcji wymiaru godzin innych przedmiotów. Kiedy wreszcie dotrze do nas, że naprawdę nic się nie stanie, jeśli nie każdy będzie umiał wypocić esej, zapisać równanie reakcji chemicznej czy wymienić przyczyny i skutki zjednoczenia Włoch w XIX wieku? Zamiast robić z Polaków osobliwie rozumianych „ludzi renesansu”, należy okroić program nauczania ze wszystkiego, czego człowiek – nie oszukujmy się – uczy się tylko po to, by zdać i zapomnieć. Szkoła powinna być nastawiona przede wszystkim na uczenie tego, co jest nam niezbędne w codziennym, dorosłym życiu – czyli nie tyle samej fragmentarycznej wiedzy dotyczącej arbitralnie wybranych tematów, co umiejętności jej zdobywania w razie potrzeby i funkcjonowania realiach współczesnego świata. Jakimi kryteriami należy kierować się przy rozważaniu oferty banku, skąd czerpać rzetelną wiedzę na temat programów partii politycznych, jak rozsądnie wybrać kierunek studiów? Jak odróżnić naukę od pseudonauki, w jaki sposób zarządzać domowym budżetem, jak na co dzień dbać o swoje zdrowie? Wiedza czysto naukowa, specjalistyczna, powinna być przekazywana w ramach przedmiotów fakultatywnych, wybieranych przez uczniów na podstawie zajęć wprowadzających, dających im możliwość poznania danej dziedziny od strony fascynującej, zachęcającej do jej zgłębienia. Zamiast zaczynać fizykę od ruchu jednostajnego, opowiedzmy o czarnych dziurach, ewolucji gwiazd i wielkim zderzaczach hadronów.

Jeśli mówimy o funkcjonowaniu człowieka w świecie, nie sposób pominąć życie w społeczeństwie. Wszelakie programy antydyskryminacyjne, działalność rozmaitych samozwańców „edukatorów” i wyczerpanie na tzw. „mowę nienawiści” biorą się z poczucia skrzywdzenia w wielu obszarach życia. Doczekaliśmy takich czasów, w których jedno na trzy małżeństwa się rozpada, aż 25% polskich dzieci wychowuje się bez ojca. Coraz głośniejsze mówi się o przemocy domowej i dorosłych dzieciach z rodzin dysfunkcyjnych. Uczęszczanie na psychoterapię nikogo dzisiaj już nie dziwi. Ludzie wykazują coraz większe trudności w budowaniu bliskich, trwałych relacji. W Polsce wzrasta odsetek jednoosobowych gospodarstw domowych oraz dorosłych ludzi żyjących na utrzymaniu rodziców. Już wśród nastolatków obserwujemy problemy takie jak przemoc rówieśnicza, uzależnienia od substancji i pornografii, angażowanie się w zachowania seksualne. Tymczasem szkoła woli uczyć o fotosyntezie i środkach stylistycznych w poezji.

Jeśli zależy nam na społeczeństwie, musimy zrozumieć, że główną osią, wokół której powinna koncentrować się edukacja szkolna, musi być społeczeństwo i jego problemy, a więc i problemy każdego człowieka. To w szkole powinniśmy uczyć się rozumienia własnych emocji i schematów, w oparciu o które podejmujemy decyzje, efektywnej komunikacji, sztuki kulturalnego i merytorycznego prowadzenia sporów, radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych. Ale szkoła to nie tylko edukacja. To również wychowanie w wartościach, z których kluczowymi powinny być honor, lojalność, odwaga, dążenie do prawdy, wrażliwość, altruizm, miłość do Ojczyzny. Centralne miejsce, jakie dzisiaj w planie zajęć pełni język polski i matematyka, zajmować powinna edukacja psychospołeczna wraz z wychowaniem, w szczególności wychowaniem do życia w rodzinie.

Myśląc o wychowaniu do życia w rodzinie, wielu z nas kojarzy słabej jakości filmy na kasetach VHS, atmosferę wstydu i zażenowania

towarzyszącą mówieniu o sprawach intymnych czy kompletne odklejenie od rzeczywistości, gdy młodzież mająca za sobą pierwsze doświadczenia seksualne jest dopiero na etapie omawiania miesiączki. W kontrze do tych oparów absurdu słusznym wydaje się dla wielu permissywne wychowanie seksualne, prezentujące aktywność seksualną jako prawo 15-letniego dziecka i traktujące wstrzemięźliwość do czasu małżeństwa w kategoriach opcjonalnego wyboru, równie dobrego lub wręcz w wielu aspektach gorszego niż pozostałe. Model ten wychodzi z założenia, że nie jest możliwe powstrzymanie małoletnich przed uprawianiem seksu, więc jedyne, co można i należy robić, to minimalizowanie skutków ubocznych tych kontaktów dzięki wyposażeniu w antykoncepcję, a najlepiej również w dostęp do aborcji. Niestety, brak porządnego wychowania seksualnego typu A daje promotorom opcji alternatywnej solidne narzędzie do forsowania swoich przekonań.

Potrzebujemy solidnego wychowania do życia w rodzinie, opartego nie tylko na katolickiej etyce seksualnej, ale też na czymś innym niż udawanie, że nie mamy pojęcia o nastoletnim seksie, pornografii i wzorcach, jakie młodzież czerpie z popkultury. Potrzebujemy otwartego rozmawiania o ludzkiej płciowości od wczesnych lat życia, w sposób dostosowany do wieku, ale też jasny i bezkompromisowy. Nie wystarczy samo wyłożenie zasad: to jest dobre, a to złe; potrzebujemy ugruntowania ich w szerszym spojrzeniu na człowieka i społeczeństwo; na to czym jest miłość, odpowiedzialność, szacunek; jakie znaczenie powinno mieć dla nas małżeństwo i rodzina; jakie wybory przybliżają nas do bezpieczeństwa i stabilności budowanej relacji a jakie od tego oddalają. W dzisiejszym świecie, mówiąc o „bezpiecznym seksie”, mamy na myśli zmniejszone prawdopodobieństwo zajęcia w ciążę i zakażenia chorobą weneryczną. Abstrahując od statystyk dotyczących nieplanowanych ciąż i zapadalności na te choroby pomimo stosowania antykoncepcji, kompletnie pomija się kwestię wpływu przedwczesnych, niedojrzałych kontaktów seksualnych na rozwój psychoseksualny człowieka. Taka

wiedza, podobnie jak świadomość skutków używania pornografii, powinna być elementem podstawowej edukacji prozdrowotnej.

Jako że jesteśmy istotami płciowymi i świadomość naszej płciowości towarzyszy nam od wczesnego dzieciństwa, a problemy w jej przeżywaniu i budowaniu relacji płciowych stanowią główny motor napędowy dla dysfunkcji w psychicznym i społecznym funkcjonowaniu człowieka, traktowanie wychowania do życia w rodzinie jako nieistotnej zapchajdziury w programie zajęć jest nieporozumieniem. Rolą szkoły powinno być przede wszystkim odpowiadanie na potrzeby społeczeństwa i zapobieganie dalszej propagacji problemów, które już w nim obserwujemy. Prymarne cele, na jakie należałoby dzisiaj nakierować szkołę, to zmniejszenie odsetka dzieci przychodzących na świat w związkach pozamałżeńskich i wychowujących się w rozbitych rodzinach, zwalczanie przemocy i innych dysfunkcji w rodzinie oraz umiejętność budowania stabilnych, bezpiecznych i zdrowych relacji. Do następnych w kolejności celów warto zaliczyć zdolność do poruszania się wśród natłoku informacji, efektywnej komunikacji i rozwiązywania konfliktów, a także kształtowanie cech charakteru takich jak uczciwość, pracowitość, zaradność życiowa. Zostawmy naukę tym, którzy chcą się nią zajmować i pozwólmy im zajmować się nią na sto procent. Nie zaśmiejmy planów lekcji byle czym. Szanujmy czas naszych dzieci, nie przemęczajmy ich. Niech w rozkładzie zajęć znajdzie się czas na kółko teatralne, grę w piłkę, spotkanie z kolegami.

Łucja Dzidek

Jakub Ignaczak - Międzymorze – niezrealizowane marzenie czy realny projekt

Źródła historyczne doktryny międzymorskiej

Idea tzw. „Międzymorza” od wieków stanowi ważny kierunek w polskiej myśli geopolitycznej. Polega ona na utworzeniu wokół Polski bloku skupiającego wszystkie państwa położone pomiędzy Rosją i Niemcami. Blok międzymorski miałby przeciwstawiać się obu tym mocarstwom jednocześnie.

Warto tytułem wstępu przybliżyć tu historię tej koncepcji. W okresie XIV-XVw. Polska prowadziła ożywioną aktywność militarną w pasie bałtycko-czarnomorskim. Natomiast później aż do XVIIw. trwała polska ekspansja na Nizinie Wschodnioeuropejskiej.

Aktywność w obu tych kierunkach zakończyła się dla Polski niepowodzeniem. Utrzymała ona granice na Morzu Bałtyckim i Morzu Czarnym jednocześnie tylko w latach 1466-1475. Trzecia wojna północna w latach 1700-1721 doprowadziła do ukształtowania trwającego do dziś układu geopolitycznego z Rosją i Niemcami jako głównymi mocarstwami w naszej części Europy. Wojna siedmioletnia w latach 1756-1763 pozbawiła Polskę samodzielności geopolitycznej.

Idea międzymorza w okresie międzywojennym

Po zakończeniu I Wojny Światowej ideę Międzymorza próbował zrealizować Józef Piłsudski. W latach 1918-1926 środowisko piłsudczykowskie postulowało stworzenie sojuszu Polski z Litwą, Ukrainą

i Białorusią (tzw. idea federacyjna) oraz rozerwanie Rosji Sowieckiej „po szwach narodowościowych” (tzw. idea prometejska). Pojawiały się nawet pomysły zgrupowania wszystkich państw powstałych w obszarze bałtycko-czarnomorsko-adriatyckim w jednym trwałym bloku (tzw. idea jagiellońska).

Wszystkie te koncepcje okazały się nietrwałe z kilku powodów. Przede wszystkim, Polska była zbyt słaba, by stać się liderem całego regionu. Dodatkowo podczas negocjacji z bolszewikami w Rydze 1921r. wszystkie plany Piłsudskiego zanegowała niechętna mu endecja. Również inne państwa międzymorskie jak Ukraińska Republika Ludowa i państwa bałtyckie nie miały wystarczającej siły. Ponadto, państwa mające tworzyć międzymorski blok były skonfliktowane między sobą. Węgry i Rumunia prowadziły spór o Siedmiogród, a w Jugosławii trwał konflikt serbsko-chorwacki. Część państw była też niechętna polskiemu przywództwu. Aspiracje do bycia liderem bloku miała też Czechosłowacja. Również Litwa była negatywnie nastawiona do Polski. Każde państwo bloku prowadziło też inną politykę wobec Rosji Sowieckiej i Niemiec. Tylko Polska graniczyła z oboma tymi mocarstwami jednocześnie.

Wobec upadku idei międzymorskiej II RP mogła jedynie prowadzić politykę równowagi sił wobec Rosji Sowieckiej i Niemiec. Po śmierci Piłsudskiego minister spraw zagranicznych Józef Beck, co prawda, próbował reaktywować Międzymorze pod nazwą „Trzecia Europa”. Chciał on wykorzystać zaanektowanie głównego konkurenta Polski, Czechosłowacji przez Niemcy hitlerowskie w 1938r.

Beck dążył do trwałego sojuszu z Węgrami i Rumunią. Polska miała pełnić w nim rolę mediatora konfliktu o Siedmiogród. Później sojusz miał zostać rozszerzony o Litwę, Łotwę, Estonię i Finlandię oraz przekształcić się w trwały blok Trzeciej Europy. Miała to być w regionie trzecia siła geopolityczna obok państw Osi (Trzecia Rzesza, Włochy faszystowskie) i

ZSRR. Projekt zakończył się niepowodzeniem z tych samych powodów, co plan Piłsudskiego.

Oprócz piłsudczyków, swoje warianty idei Międzymorza tworzyli też myśliciele polityczni z innych obozów. Konserwatywny myśliciel Stefan Gużkowski w 1936r. wydał broszurę „Imperium Jagiellonicum. Rzec o unji wschodnio-europejskiej”. Związany z endecją Karol Ludwik Koniński stworzył koncepcję Cesarstwa Polskiego. Swoje wizje Imperium Słowiańskiego i polskiej ekspansji aż po Kaukaz snuł też RNR „Falanga”, a później w czasie okupacji jego konspiracyjna struktura Konfederacja Narodu podtrzymywała tę myśl.

Polska emigracja a idee Międzymorza

Środowiska polskiej emigracji na Zachodzie również tworzyły różne warianty idei Międzymorza. Już w czasach zaborów przebywający w Paryżu książę Adam Jerzy Czartoryski i jego obóz polityczny tzw. Hotel Lambert opracował plan odrodzenia Rzeczypospolitej obejmującej ziemie Polski i Litwy. Dążył on do zawiązania sojuszu Polaków z innymi ludami Europy Środkowej starającymi się uzyskać niepodległość m.in. Serbami, Węgrami, Czechami i Słowakami.

Podczas II Wojny Światowej premier Rządu Emigracyjnego w Londynie gen. Władysław Sikorski starał się reaktywować sojusz Polski z Czechosłowacją. W jego planach ten sojusz miał być rdzeniem Federacji Środkowoeuropejskiej.

Idee Międzymorskie były żywe także wśród powojennej emigracji polskiej. Najważniejszą doktrynę tego typu ogłosili na łamach paryskiego miesięcznika „Kultura” Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski. Stała się ona znana jako tzw. „doktryna Giedroycia” lub „doktryna ULB” (Ukraina-Litwa-Białoruś).

Odejście od doktryny Międzymorza po 1990r.

Po upadku komunizmu Polska porzuciła ideę budowy bloku Międzymorza. Przejawiało się to m.in. w odrzuceniu tzw. "planu Krawczuka" z 1993r., odmowie udziału w protokołach Mińsk I z 2014r. i Mińsk II z 2015r., faktycznym wymarciu powołanej w 1989r. Inicjatywy Środkowoeuropejskiej oraz słabym charakterze Grupy Wyszehradzkiej założonej w 1991r. Demoliberalna oligarchia polityczna rzucała hasła międzymorskie jedynie instrumentalnie w celu wciągnięcia państw sąsiednich w atlantyckie projekty realizowane w regionie przez USA.

Przystąpienie do NATO w 1999r. i Unii Europejskiej w 2004r. pozbawiło Polskę samodzielności geopolitycznej i oznaczało trwałe przyjęcie kierunku euro-atlantycznego w geopolityce. Jedyne co dziś zostało z Międzymorza to marzenia o „rozpruciu Rosji po szwach narodowościowych” czyli tzw. „doktryna Kwaśniewskiego”. Przejawia się ona w bezkrytycznym popieraniu separatystów czeczeńskich, neobanderowskiej Ukrainy i opozycji demokratycznej na Białorusi.

Problemy w realizacji projektu międzymorskiego

Projekt Międzymorza nie ma w obecnych warunkach szans na realizację. Polska jest państwem raczej słabym i jest postrzegana jako mało atrakcyjna przez inne kraje pasa międzymorskiego. Nasza polityka, historia, kultura i język nie są szeroko znane. Polski rynek nie przyciąga inwestorów i pracowników z innych krajów regionu. Polskie uniwersytety nie są wiele lepsze niż uniwersytety w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Niektóre są nawet od nich gorsze. Najlepszą uczelnią wyższą w naszym regionie Europy jest Uniwersytet Karola w Pradze.

Najbardziej aktywne w Europie Środkowo-Wschodniej są państwa spoza regionu: Rosja, USA, Niemcy, Francja, a także Wielka Brytania, Włochy, a nawet niewielka Belgia. Ostatnio swoją aktywność coraz mocniej zaznacza też Turcja. Te kraje wywierają wpływ na politykę i gospodarkę regionu. Prowadzą tu swoje inwestycje. Są atrakcyjnym celem emigracji zarobkowej i miejscem nauki dla ludności z całej Europy Środkowo-Wschodniej. Ich polityka, historia, języki i kultura są tu szeroko znane i cieszą się zainteresowaniem.

Polacy również słabo znają politykę, historię i kulturę innych państw Europy Środkowej i Wschodniej. Polskie środowiska nacjonalistyczne nawiązują, co prawda, luźne sieci kontaktów ze swoimi odpowiednikami w innych krajach regionu, jednak ich zakres oddziaływania na społeczeństwo wciąż jest niewielki.

Polscy przedsiębiorcy raczej nie inwestują masowo na Ukrainie, w Chorwacji czy Słowenii. Nie wykupują tam ziemi i nie zakładają firm.

W Polsce często przytacza się analizy politologów niemieckich, francuskich i rosyjskich. Natomiast głosy ekspertów z Estonii, Chorwacji czy Słowenii zupełnie nie są brane pod uwagę.

Najbardziej popularnym językiem obcym w Polsce i całym naszym regionie jest, tak jak na całym świecie, język angielski. Dużym zainteresowaniem cieszą się też języki europejskie, przede wszystkim niemiecki i francuski, a także rosyjski. Języki takie jak węgierski czy chorwacki nie są zbyt popularne i szeroko nauczane.

W dziedzinie kultury większość polskiego społeczeństwa łyka prymitywną papkę serwowaną przez USA. Bardziej wyrafinowani odbiorcy zagłębiają się w kulturę francuską, niemiecką, włoską i, ewentualnie rosyjską.

Natomiast literatura, sztuka i kinematografia takich krajów jak Białoruś, Węgry czy państwa nadbałtyckie jest u nas całkowicie nieznana.

Podobnie jest w obszarze myśli politycznej. Weźmy jako przykład nasze środowisko nacjonalistyczne. Większość zna filozofię francuskiego kontrrewolucjonisty Josepha de Maistre'a, niemieckich konserwatywnych rewolucjonistów czy rosyjskiego tradycjonalisty integralnego Aleksandra Dugina. Natomiast ukraińskie koncepcje geopolityczne Jurija Łypy i Stiepana Rudnyckiego znają już tylko nieliczni.

Większość dobrze orientuje się w temacie Hiszpanii gen. Franco czy działalności Action Francaise we Francji. Jednak tylko niewielu potrafi powiedzieć coś więcej o Słowacji ks. Tiso czy węgierskich Strzałokrzyżowcach.

Czym powinno być Międzymorze

Pomimo opisanych tu problemów, idea Międzymorza nie jest ideą straconą. Należące do niego kraje posiadają wiele wspólnych elementów, które odróżniają ten obszar zarówno od łacińskiego Zachodu, jak i eurazjatyckiej Rosji. Musimy stworzyć filary wspólnej tożsamości. Taką tożsamość usiłowała w oparciu o katolicyzm wypracować dynastia Habsburgów.

Rosja nie jest krajem czysto słowiańskim. Rozpościera się na całym obszarze Eurazji. Jej tradycyjny charakter jest wieloetniczny i wielokulturowy. Obszar Rosji zamieszkują w sposób naturalny ludy pochodzenia ugrofińskiego, kaukaskiego, tureckiego, syberyjskiego, mongolskiego itp. Z kolei, w Europie Zachodniej istnieją duże skupiska imigrantów z Bliskiego Wschodu, Afryki i Azji.

Na tym tle kraje międzymorskie zachowały, jak dotąd, swój jednolity charakter etniczny. To właśnie państwa takie jak Polska czy Węgry najmocniej strzegą swoich granic przed kolejnymi falami pozaeuropejskich imigrantów. To one najbardziej przeciwstawiają się narzucanej przez Zachód zabójczej polityce multikulturalizmu. Można powiedzieć, że Europa Środkowa to „ostatnia kraina białego człowieka”.

Właśnie ta etniczność powinna być filarem łączącym wszystkie kraje Międzymorza. Powinniśmy pomagać sobie wzajemnie w jej zachowaniu. Nasze kraje powinny stworzyć jeden front sprzeciwiający narzucanej przez UE polityce przyjmowania imigrantów.

Drugim filarem łączącym większość krajów pasa biegnącego od Rosji aż do Bałkanów jest wspólna kultura. Języki takie jak rosyjski, polski, czeski, słowacki, serbski czy chorwacki należą do jednego pnia języków słowiańskich. Ich wspólnym źródłem był język prasłowiański.

Na początku we wszystkich krajach Słowiańszczyzny, z wyjątkiem zlatynizowanej Polski, liturgia odbywała się w jednym języku starocerkiewno-słowiańskim. Według badań lingwistycznych, najwięcej elementów mowy dawnych Słowian zachowało się we współczesnym języku słowackim. Natomiast do starocerkiewno-słowiańskiego najbardziej podobny jest współczesny rosyjski.

Współcześnie podstawą wspólnej tożsamości nie może już być religia. Zamiast łączyć dzieli ona ludy międzymorskie. Pamiętamy wszyscy krwawe konflikty religijne na Bałkanach w latach 90-tych: konflikt katolickich Chorwatów z prawosławnymi Serbami, konflikt prawosławnych Serbów z muzułmańskimi Albańczykami, wewnętrzny konflikt muzułmanów z prawosławnymi i katolikami w Bośni itd.

Chcąc stworzyć cywilizację Międzymorza, powinniśmy sięgnąć do zamierzchłych czasów przedchrześcijańskich i przedłacińskich. Całą Słowiańszczyznę łączy podobieństwo języków, kuchni, strojów, tańców, pieśni i sztuki ludowej czyli wszystko to, co kulturoznawcy określają mianem „folkloru”. Podobne elementy można znaleźć też w Rosji. To zachowane do dziś, często pod chrześcijańską powłoką, pogańskie dziedzictwo naszych przodków powinniśmy chronić i rozpowszechniać.

Wspólna etniczność i wspólna kultura to filary, na których powinno opierać się Międzymorze.

Jakub Ignaczak

Krzysztof Kołodziejcki - Dom

We have a need for the useless.

Sir Roger Scruton

Wychowałem się na osiedlu z połowy lat osiemdziesiątych. Kilkadziesiąt bloków z wielkiej płyty skomunikowanych ze sobą i nielicznymi wówczas punktami usługowymi przy pomocy chodników z takich samych płyt. Betonowe płyty posłużyły jako materiał konstrukcyjny przedszkola, do którego chodziłem, boiska, na którym zdierałem kolana, i dużego parkingu, na którym uczyłem się jazdy na rowerze. Jedynym urozmaiceniem w najbliższej okolicy był mały sklep z blachy falistej pomalowanej na niebiesko i zaniedbana zieleń z wydeptanymi trawnikami. Nieraz zastanawiałem się jaki udział miała fizyczna antyludzkość tego środowiska w generowaniu ogromu problemów społecznych nękających jego mieszkańców. Mój skandynawski znajomy, który dorastał na podobnym osiedlu w Szwecji, określił taką architekturę mieszkaniową mianem *psychological warfare* (ang. wojny psychologicznej). Ktoś niechętny modernistom mógłby w istocie stwierdzić, że ich skompromitowane z dzisiejszej perspektywy założenia, szczególnie te sformułowane w tzw. Karcie Ateńskiej, były aktem wypowiedzenia wojny człowiekowi, który miał zamieszkiwać osiedla będące mniej lub bardziej zdeformowanym ucieleśnieniem tych założeń. Modernistyczne budownictwo miało być narzędziem tej wojny a jej celem ukształtowanie nowego typu człowieka, wyzwolonego od instynktownego przywiązania do tradycyjnych form. Skutki tych zmian wymykają się jednoznacznej ocenie z uwagi na fakt, że, w moim odczuciu, dotyczą one

nie tyle sfery materialnej, co duchowej. Istnieją wprawdzie statystyki bezrobocia, przestępczości, samobójstw, dla konkretnych obszarów miejskich, ale nie można definitywnie określić związku przyczynowo-skutkowego między fizycznym otoczeniem a skalą problemów socjalnych. Te wiążą się bowiem w pierwszym rzędzie z innymi czynnikami takimi jak koniunktura gospodarcza, dostępność opieki medycznej, bezpieczeństwo, skład etniczny mieszkańców osiedla itd.

Długofalowym efektem oddziaływania takiej zuniformizowanej, seryjnej brzydoty była sterylizacja człowieka z wrażliwości na piękno i upośledzenie jego naturalnego zmysłu estetycznego. To, co miało wyzwolić ludzi od mieszczańskiego zamięłowania do przedmiotów i „próżnej” dekoracyjności, a na wsi od „przaśnej” i „wstecznej” ornamentyki spowodowało rozwinięcie się czegoś w rodzaju estetycznej apatii. Bynajmniej nie próbuję sugerować, że przeciętny polski chłop, zanim trafił do miasta, lub zanim jego wieś została zurbanizowana, wykazywał zainteresowanie sztuką. Ofiarą krucjaty modernistów, urbanistów, i polityków padła przede wszystkim estetyczna intuicja, a nie świadomy gust. Wspomniany chłop mógł nie doceniać niczego w architekturze gotyku poza samą skalą, ale jednocześnie sam potrafił zbudować dom o doskonałych proporcjach, z naturalnych, lokalnie dostępnych materiałów, udekorowany tradycyjnymi dla regionu detalami. Dom niejako zrośnięty z otoczeniem, w którym powstał, będący nie brutalną ingerencją w to otoczenie, a jego rozwinięciem o prosty element cywilizacji. Patrząc na niezurbanizowaną wieś z wieżami kościołów i małymi przysiółkami w kępach drzew można odnieść wrażenie, że istnieją tam od zawsze. Tego samego nie można powiedzieć o betonowym osiedlu piętrzącym się wśród tego, co jeszcze niedawno było terenem rolniczym, będącym groteskową i przeskalowaną zapowiedzią miasta. Zresztą w przypadku polskich miast ta ponura zapowiedź zwykle nie kryje w sobie obietnicy czegoś lepszego. Większość z nich to po prostu zlepek takich osiedli obrastających niewielkie, stare,

śródmiejskie dzielnice posiadające jeszcze niektóre cechy właściwego miasta.

W kręgach tożsamościowych coraz większą uwagę zyskuje temat mieszkalnictwa, szczególnie w kontekście patodeweloperki, co cieszy, bo jest to zjawisko zatruwające przestrzeń w wyjątkowo inwazyjny sposób. Ponadto skupia w sobie szereg innych patologii takich jak spekulacja i wyzysk, złe warunki mieszkaniowe, kulejące planowanie, brak dostępności mieszkań adekwatnych do potrzeb. W moim tekście kieruję uwagę na estetykę przestrzeni, która jest niedocenianym aspektem mieszkalnictwa. Chciałbym, żeby tych kilka myśli w nim zawartych skłoniło czytelników do krótkiej refleksji nad tym jak mieszkamy, co z kolei w pewnej mierze przekłada się na to jak żyjemy.

Efekty wspomnianego wcześniej wyjałowienia estetycznego są bardzo namacalne zarówno na współczesnej, zurbanizowanej wsi, jak i w mieście. Polska prowincja to modułowe, ażurowe płyty z betonu, różowe i fioletowe elewacje, drewniane chaty z plastikowymi oknami stojące w towarzystwie parterowych bungalów w amerykańskim stylu i PRL-owskich kostek z pustaka, bilbordy wzdłuż dróg i na posesjach, blachodachówka, szachulcowe ściany poniemieckich budynków przykryte styropianem, brak jakiegokolwiek wspólnego wątku w miejscach, które zamieszkują przecież niewielkie społeczności. Nie lepiej jest w mieście, o czym bardzo celnie i dowcipnie pisze np. Filip Springer. Czasem jadąc przez Polskę muszę walczyć z uczuciem niechęci do własnych rodaków za to jak obchodzą się z przestrzenią w której żyją, i którą tworzą. Ta brzydota jest niekiedy tak karykaturalna i przerysowana, że przywodzi na myśl prace młodych, zblazowanych absolwentów ASP, którzy braki warsztatowe i koncepcyjne próbują maskować ironią. Problem w tym, że o ile ich wytwory to efemerydy powstające na fali chwilowej mody, które można po prostu zignorować, i o których historia sztuki szybko zapomni to, to co nas otacza, jest niestety na serio i zostanie z nami na dłużej. Jaka

myśl może przyświecać właścicielowi posesji, wjazdu do której strzegą nieudolnie wyrzeźbione, gipsowe lwy pomalowane na złoto? Na własne oczy widziałem podobnych bram ponad tuzin. To, że mieszkaniac dużego i zamożnego domu daje w ten sposób wyraz swojemu gustowi i słusznie zakłada, że nie stanie się obiektem kpin sąsiadów, dużo mówi o tym gdzie się znaleźliśmy jako naród jeśli chodzi o wrażliwość. Pamiętam, że kiedy wracałem przez Albanie i Serbie z kolonii na południu Europy duże wrażenie zrobił na mnie krajobraz bałkańskiej prowincji, noszący jeszcze wyraźne ślady ostatniej wojny. W domu rzuciłem myśl, że te kraje muszą chyba stać na wyższym poziomie niż Polska, bo wszystkie domy mają białe ściany i ceramiczną, rudą dachówkę. Mój naiwny, młody umysł skojarzył tę spójność z porządkiem i dobrobytem, a więc czymś co znałem z Zachodu. Sam fakt wykrystalizowania się jakiegoś określonego stylu architektonicznego wiązałem z wyższym poziomem cywilizacyjnym. Po latach zrozumiałem, czym tak rozbawiłem rodziców, i że mieszkańcom tamtego regionu nie było wtedy czego zazdrościć. Na Bałkany wróciłem jeszcze wiele razy i zawsze zastanawiało mnie jak to jest, że narody o zdawałoby się mniejszej kulturze organizacyjnej i gorącym temperamencie potrafią wykazać powściągliwość i rozsądek, kiedy przychodzi do doboru koloru elewacji, pokrycia dachu, i ogrodzenia własnego domu.

Osoby z prawicowych kręgów, które podkreślają wagę kultury, sztuki i estetyki spotykają się z zarzutami o zajmowanie się tematami zastępczymi. Ta krytyka jest jednak bezpodstawna i szkodliwa. Po pierwsze, koncentracja na kulturze nie determinuje bagatelizowania tematów społecznych, czy ignorancji w obszarze ekonomii i prawa. Po drugie, jak udowodniła lewica, szczególnie w drugiej połowie dwudziestego wieku, kluczem do ukształtowania społeczeństwa jest właśnie kultura. To za światopoglądem formowanym w znacznej mierze przez kulturę idą decyzje polityczne, a nie odwrotnie. To zmiany kulturowe i obyczajowe wymuszają na aktorach gospodarczych określone działania i decyzje. Jestem zdania, że punktem wyjścia do myślenia o

szerszych zmianach jest nasze najbliższe otoczenie. W brzydkiej i anonimowej przestrzeni może powstać żadna albo brzydka kultura. Miejsca, w których żyjemy powinny być przyczółkami wyjątkowości i harmonii na poboju, które pozostawiły po sobie odpowiednio komunizm i kapitalizm. W dobie skomercjalizowania i skomodyfikowania przestrzeni życiowej należy zadbać o to, by ta należąca do nas była odbiciem naszych przekonań, i nie mam tu na myśli dekorowania ścian symbolami politycznymi czy subkulturowymi. Globalistyczne elity chcą, żebyśmy mieszkali w bezdusznych, najlepiej wynajętych, mieszkankach w anonimowych apartamentowcach, na ogrodzonych osiedlach, w wiecznie rozrastających się miastach. To składnik neofeudalnej receptury na uformowanie bezwolnej, zubożonej na wszystko masy jednostek, które swoje duchowe i materialne potrzeby zaspokajają będą konsumowaniem kolejnych odcinków seriali i kupowaniem korporacyjnych dóbr. Przewrotnym symbolem nijakości wewnątrz, w których żyje przeciętny Polak jest obecny w wielu domach napis "Home" wycięty z pleksi. Banalny, masowo produkowany przedmiot udający coś, co ma przydawać wewnątrz osobistego charakteru. Nas inspiruje Europa z jej unikalnością, bogatą historią, architekturą i sztuką. Możliwości zaaranżowania prywatnej przestrzeni w taki sposób, żeby nas cieszyła, inspirowała i motywowała do działania jest wiele. Jak więc sprawić by zyskała określony charakter?

Na pewno dobrze jest otaczać się przedmiotami, które coś dla nas znaczą, takimi jak pamiątki rodzinne. Nacjonalizm to między innymi łączność z pokoleniami, które przygotowywały nam grunt. Warto zainteresować się historią własnej rodziny i jej materialnym świadectwem. W moim domu były to na przykład zdjęcia dziadka z lat trzydziestych ze szkoły podchorążych. Najważniejszym przedmiotem była jednak kronika, w której dziadek udokumentował dzieje rodziny od 1870 roku. Do tego szereg obiektów, które rodzina posiadała, takich jak gitara marki Otwin, którą dziadek odkupił od chłopaków, którzy chwilę wcześniej zdobyli ją na niemieckim muzykancie jadącym grać żołnierzom na froncie

wschodnim; międzywojenne wydania polskich książek; średniowieczne ostrogi o rzadkiej i ciekawej formie; dziewiętnastowieczny, francuski rapier, który od chwili wykucia mógł przeleżeć w zbrojowni, ale równie dobrze przebijać przeciwników jego właściciela podczas pojedynków. To wszystko rozbudzało moją wyobraźnię i budowało świadomość tego, że historia mojej rodziny jest częścią, nieważne jak mało spektakularną, większej, narodowej i europejskiej historii.

Dzisiaj dzięki dobrze rozwiniętej logistyce i dostępowi do sieci mamy możliwość wejścia w posiadanie produktów kultury, które powstały w czasach świetności naszego kontynentu. Dlaczego nie potraktować ich jako symbolicznego nawiązania do tego, co stanowi dla nas ważny punkt odniesienia? Może to być klasycystyczna rzeźba w stylu Arno Breckera, ekspresjonistyczny drzeworyt z lat dwudziestych, secesyjna grafika, czy realistyczna akwarela. Każdy z tych przedmiotów ma własną historię, był zapisem i niemym świadkiem innej czasoprzestrzennej rzeczywistości. Nawet jeśli w momencie pozyskania takiego obiektu trudno o nim myśleć jako o pamiątce rodzinnej, to stanie się on nią z czasem, szczególnie kiedy odziedziczą go po nas nasze dzieci. Chciałbym zachęcić do zainteresowania sztuką i przedmiotami dekoracyjnymi i niepostrzegania ich w kategoriach snobistycznej fanaberii. Dobrą sztukę można nabyć za równowartość rocznego abonamentu popularnej platformy streamingowej czy kwartalnego kontyngentu papierosów. Zresztą również drobne przedmioty użytkowe takie jak polska ceramika czy tkanina z cepelii mogą ożywić wnętrze niewielkim kosztem. Wnętrze bogate w książki i przedmioty dekoracyjne ma tę dodatkową zaletę, że jest w stanie odciągnąć uwagę od ekranów telefonów i tabletów, po które współczesny człowiek instynktownie sięga w każdej wolnej chwili. Polskie koncepcje urządzania mieszkań przeszły długą drogę od dobrze zaprojektowanego, aczkolwiek zgrzebnie wyprodukowanego wzornictwa PRL, przez plastik i tandetę lat pięćdziesiątych, aż po to, co dzisiaj wielu rozumie jako „skandynawski minimalizm”. Nie ma on jednak za wiele wspólnego z właściwym skandynawskim minimalizmem.

Bładoszare wnętrza z ekranem telewizora w centralnym miejscu, przypominające wizualizacje przykładowych „apartamentów” z kolejnych inwestycji deweloperów, to nie świadoma oszczędność form, tylko raczej pustka. Warto zadbać o to, by jej miejsce w naszej osobistej przestrzeni zastąpiła piękna forma.

Krzysztof Kołodziejcki

Korneliusz Niebudek - Ecclesia Militans XXI wieku

Zaczynacie dzisiaj walkę przeciw wrogom naszym, niech trwoga przed nimi was nie ogarnia! Niech serce wam nie drży! Nie bójcie się, nie lękajcie się! Gdyż z wami wyrusza Pan, Bóg wasz, by walczyć przeciw wrogom waszym i dać wam zwycięstwo (Pwt 20, 3-4).

Śmiało można powiedzieć, że każde czasy są dla katolika trudnymi, co jest niejako wpisane w naszą wiarę przeciwko, której mamy cały świat pogrążony w ciemności. Jesteśmy atakowani z każdej ze stron, zarówno z zewnątrz jak i od wewnątrz. Z jednej strony agresywny lecz tępy ateizm, a z drugiej modernistyczny „dobroludzizm” i protestantyzacja Kościoła. Rozwadniamy się, wchodzimy w dialogi oraz idąc na kompromisy. Jesteśmy w kryzysie. Abp. Sheen powiedział kiedyś - *Gdybym nie był katolikiem i chciałbym znaleźć prawdziwy Kościół w dzisiejszym świecie, szukałbym takiego Kościoła, który nie żyje w zgodzie ze światem; innymi słowy, szukałbym Kościoła, którego świat nienawidzi.* Nadchodzi czas Adwentu, w którym szukajmy oparcia na tej skale którą jest św. Piotr, szukajmy umiłowania tradycji i hierarchii oraz rycerskiej pokory, która rodzi olbrzymów. Bądźmy jak tych 189 dzielnych gwardzistów szwajcarskich, którzy stanęli w obronie Papieża Klemensa VII. Postawa taka nie jest łatwa, ponieważ z owych 189 gwardzistów, którzy podjęli szaleńczą walkę przeciwko tysiącom wrogich wojsk, przeżyło tylko 42, podczas reszta poległa na stopniach ołtarza Bazyliki oddając życie *na schodach do Nieba*. Ale czy nie lepsza jest śmierć w walce od życia na kolanach? Walka duchowa, którą toczymy jest trudna, bo toczymy ją przeciwko całemu światu, który w imię materialistycznego pędu wyparł się ostatnich pierwiastków duchowych. Miliony zepsutych i pustych wewnątrznie robocików przemierza ziemię w nadziei na kolejne chwilowe doznania przyjemności, wygody i próżnego relaksu. Cierpienie, która jest zbawczym i oczyszczającym darem stało się potworem, którego

się unika jak ognia, bo przecież czegoś od nas samych wymaga. Pustynia, która wzmacnia i stawia na nogi człowieka stała się zabudowanym i świecącym promocjami supermarketem. Nie dajmy się jednak zwieść ułudzie i zakładając wygodne buty idźmy wytrwale przez tą trudną drogę, którą już podjęliśmy. Na koniec chcę przytoczyć słowa por. Andre Zirnhelda, komandosa SAS:

*Przynoszę Ci, Panie, tę modlitwę,
bo tylko Ty możesz dać mi to,
czego nie mogę żądać od siebie.
Daj mi, Panie, czego inni nie wzięli,
o co nikt nigdy nie prosi.
Nie proszę o pokój,
o odpoczynek
duszy czy ciała.
Nie proszę o bogactwo
ani o sukces, ani tym bardziej o zdrowie.
Wszyscy Cię o to proszą,
więc pewnie wiele nie zostało.
Daj mi, Panie, czego inni nie wzięli,
daj mi, czego nikt od Ciebie nie chce.
Chcę niebezpieczeństwa i walki,
już teraz i na dobre.
Tylko w ten sposób na pewno pozostaną przy mnie,
a nie zawsze starczy mi odwagi,
by o nie prosić.
Daj mi, Panie, czego inni nie wzięli,
daj to, z czym inni nie chcą mieć nic wspólnego.
Ale daj mi też odwagę,
siłę i wiarę,
bo tylko Ty możesz dać to,
czego nie mogę żądać od siebie.*

Korneliusz Niebudek

Michał Niecki - Czego dziś uczy nas marszałek Piłsudski

Miniona rocznica odzyskania niepodległości skłania niejednokrotnie do przemyśleń. Specyficzna aura tego jesiennego dnia niesie w sobie wiele treści, którą to jednak bardziej się czuje niż rozumie. Ale już taki jest ten nasz patriotyzm – żyjący bardziej w sercu. A że zbiegło się to w moim przypadku z lekturą długą, trudną i momentami nużącą – tę specyficzną mieszankę przemyśleń i odczuć przekulem w ten tekst. I chociaż poświęcam go tylko jednej osobie, a do tego motywom nie narodowym, nie patriotycznym a właśnie osobistym i uniwersalnym. Ale może to spojrzenie – skrajnie indywidualistyczne pozwoli nam dostrzec, że wielkość i bohaterstwo jak najbardziej leży w nas. I to my nadajemy sens pojęciom.

Twierdzić, że marszałek Piłsudski nie był nacjonalistą to trochę tak jakby po korwinowsku upierać się, że był socjalistą. Trudno jednak w historii naszego kraju o drugą postać taką bardzo *naszą* aniżeli właśnie Komendant Piłsudski. W końcu była to jedyna postać ubiegłego stulecia w której tak krystalicznie odbiła się tak bliska Polakom idea wodza. Z drugiej strony przepychanie się o to czyj w zasadzie jest marszałek, patrząc przez pryzmat współczesnych sporów zdaje się po prostu nudne. Na pewno stał przeciw mocarstwom i ich monarchiom. Na pewno stał przeciw bolszewizmowi. Na pewno był przeciwko parlamentowi i partiom. I na pewno do szpiku wierzył i walczył o Polskę i przyszłość narodu. Jego antykomunizm, antyliberalizm i antykonserwatyzm nabiera nowego odświeżonego znaczenia w świecie rodzącego się nacjonalizmu trzeciej fali.

Zdjęcia czy obrazy przedstawiające marszałka od dziecka programują w naszych umysłach postawę pełną szacunku, podziwu i pewnego respektu.

Przyozdobiony orderami szarawo błękitny mundur, buława, szabla, generalskie i marszałkowskie dystynkcje. Wyraz twarzy pełen godności, oczy niosące w sobie skupienie i zdradzające wewnętrzny ciężar. Ostry wąs nadający powagi, a jednocześnie podkreślający swojskość postaci. Fizjonomia marszałka zdradza bardzo wiele.

Obserwując jednak rzeczywistość warto nie poprzestawać na owocach a dokopać się do korzeni. Kult wodza jest kuszący, ale poznanie życiorysu, który się za tym kryje potrafi być fascynujące. Szczególnie w przypadku postaci tak niejednoznacznych. I tak jak każdy z nas zna Piłsudskiego – polityka, dowódcę i wodza tak po lekturze opasłej, momentami wręcz nudnej biografii można wysnuć kilka wniosków. Porad, złotych myśli, kilku optymistycznie podnoszących na duchu, innych przygnębiających. Postanowiłem kilka tych subiektywnie wyciągniętych myśli sporządzić w formie krótkiej listy, czego uczy nas żywot pierwszego rycerza Rzeczypospolitej.

Ostatecznie liczy się dokąd doszliśmy

Młody Józef Piłsudski nie wszedł umiejętnie w dorosłość. Bądź co bądź szlachcic, zubożały nie przez popowstaniowe represje, a niekompetencje ojca w młodości liczył na dobre wykształcenie co umożliwiło mu podjęcie studiów medycznych. Miał niespełna dwadzieścia lat kiedy usłyszał wyrok pięcioletniej zsyłki na Syberię. Miał więc lat dwadzieścia pięć kiedy powrócił do Wilna i zaangażował się w działalność PPS-u przy okazji próbując rozpocząć na nowo studia. Przez najbliższe dwadzieścia dwa lata działalności niepodległościowej działał na absolutnym marginesie społecznym, politycznym, intelektualnym – a momentami nawet na ekonomicznym. Angażuje się w walki frakcji, tworzy małe organizacje – w samym środowisku niepodległościowym nierzadko prezentuje pozycje mniejszościowe, a mit nieomylnego komendanta legionów ma zrodzić się dopiero z wybuchem wyczekiwanej wojny. Faktycznie przeczuwa on

wybuch wojny, kiedy wybucha ma czterdzieści siedem lat, nadal pozostając niemal nieznanym – by po czterech latach stanąć na czele odrodzonego państwa. I to spędzając rok osadzony w magdeburskiej twierdzy. A jednak dzisiaj potrzeba bardzo wiele pracy żeby zauważyć w marszałku kogoś innego niż bohatera niepodległości.

Łatwo popaść albo w marazm albo znerwicowane działanie obliczone na natychmiastowy zysk, ale jak mówią powszechne mądrości, łatwo przyszło łatwo poszło, a trawa po drugiej stronie jest zielona. Wielu z nas pamięta tego znajomego, który dorobił się już na studiach, tę koleżankę która już w szkole średniej miała zaplanowaną przyszłość czy tę parę, która bardzo młodo założyła rodzinę. Nietrudno sobie wyobrazić co czuł facet przed trzydziestką który nie miał w gruncie rzeczy niczego poza kryminalną przeszłością, podczas gdy jego koledzy ze studiów najpewniej pokończyli medyczne studia, zakładali rodziny i realizowali się w zawodach. Co czuł wreszcie czterdziestoletni działacz nieliczącej się organizacji, który nawet wewnątrz niej nie był wcale najbardziej kluczową postacią. Ten który ma po co żyć jest w stanie znieść niemal wszystko twierdzi Nietzsche. Trzeba więc naprawdę oddać się jakiejś idei by znieść lata upokorzenia, represji i marginalizacji. Ale bardzo możliwe, że okaże się było warto.

Nigdy się nie poddawać

Nie ma chyba bardziej powtarzanego sloganu, ale w gruncie rzeczy czy to nie te najprostsze prawdy niosą w sobie najwięcej znaczenia? Ale nie ma też drugiej takiej postaci jak marszałek Piłsudski, której życie potwierdza ogromem przykładów zasadność tych słów. W końcu sam jest autorem słów „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo, zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska” i całe jego życie jest pełne dowodów, że tymi słowami w życiu się kierował. W końcu nie poddał się po zsyłce, nie poddał się kiedy izolowano go politycznie wewnątrz partii – zamiast tego działał na

własnych rachunek tworząc najpierw Organizację Bojową PPS, a w końcu Związek Walki Czynnej i Legiony. Nie poddał się kiedy wkraczając do Królestwa Polskiego runęły jego marzenia o narodowym powstaniu, ani kiedy osadzono go w Magdeburgu. Nie poddał się kiedy bolszewicy stali pod Warszawą, ani kiedy partie i parlament starały się ukrócić jego wpływy. A przecież w każda z tych sytuacji zdawała się bez wyjścia, niosąca w sobie zapowiedź ostatecznej klęski. A należy podkreślać, że niejednokrotnie popadał w silne załamania nerwowe.

Brak sukcesów działa demotywująco. Za pierwszym razem może niekoniecznie, ale za drugim, trzecim, czwartym czy piątym – coraz silniej. A przecież można czasem rzucić wszystko, poddać się i zrezygnować. Wiele osób tak robi, zamyka się w komfortowym punkcie i egzystuje. I żadna sprawiedliwość boża czy dziejowa tego stanu nie zakończy – to jest największa tragedia poddania. Nikt nie poczuje ulgi – nikt się nie załamie. Ziemia się nie rozstąpi, nie pożre nas wielka ryba jeżeli unikniemy swojej misji. Jedynie ciężar może okazać się nie do zniesienia. A może nie?

Tego nas uczy przykład marszałka, nieustannie dążyć do celu, wbrew przeciwnościom. I nie poddać się choćby na zwycięstwo miało się czekać całe życie.

Polubić się z samotnością

Powszechnie wiadomo, że jedną z ulubionych rozrywek Piłsudskiego był pasjans. Nie zawsze tak było, w młodości zagrywał się w brydża, grę dla kilku osób. Następnie szachy – tu już wymagany był tylko jeden przeciwnik. Ostatecznie wybrał jednoosobowego pasjansa. Odzwierciedlało to jego usposobienie. Już podczas zsyłki określano go mianem samotnika. Po powrocie spowaźniał. Przez PPS przewinęło się wiele osób, ciężko jednak doszukiwać się wśród nich przyjaciół

Piłsudskiego – raczej bliskich współpracowników. Podczas wojny był niemal dwukrotnie starszy od swoich podkomendnych, a kształtujący się kult wodza tylko zwiększał dystans. Z kolei w dwudziestoleciu ostatecznie ugruntował się rozdział między komendantem a jego współpracownikami. Im wyżej szczytu był, tym mniej ludzi miał przy swoim boku – im dalej się wspiał tym odleglejsi byli ci wszyscy, którzy nie poszli. Ale za to na szczycie można choć odrobinę zbliżyć się do gwiazd.

Współczesny świat obawia się samotności tworząc pozór, że jest ona odległa. W końcu mamy kontakt z kim tylko chcemy na wyciągnięcie ręki. Wiemy co dzieje się u wszystkich znajomych, a jak szukamy nowej znajomości wystarczy kilka chwil by poznać kogoś przez aplikacje randkowe. Pustelniczy żywot nie wydaje się odpowiedzią, w końcu inni ludzie są nam potrzebni – to nie ulega wątpliwości. Jednak może warto wbrew trendom spróbować oswoić ten lęk, stawić mu czoła. Odłożyć telefon i spędzić czas samotnie, pozwolić wędrować myślom. Polubić się z samotnością, której nie zagłusza dźwięk powiadomień czy słowa innych ludzi. W końcu wielkie idee mogą wykuć się tylko w samotności.

Dyletanctwo nie musi kompromitować

Pamiętać należy, że stopień marszałka zdobył Piłsudski samowwano. Nigdy przecież nie ukończył akademii wojskowych czy kursów oficerskich – w przeciwieństwie do większości generałów, którzy byli mu podlegli już w niepodległej Polsce. Co więcej nawet zdarzali się tacy, którzy mu to ostro wypominali. Faktycznie ciekawym okresem w życiu marszałka jest jego późna działalność przed wybuchem wojny. Wtedy to dystansując się od działalności poświęcił się bez reszty samodzielnej nauce sztuki wojennej. Można tylko zgadywać czy miał więcej szczęścia czy talentu – czy może po prostu przeceniamy wartość wykształcenia. Jednak nie ulega wątpliwości, że samemu doszedł własną drogą wyżej niż ci którzy poszli utartym szlakiem kariery wojskowej.

Jeżeli kiedyś stanie przed nami jakieś zadanie, będzie trzeba się przygotować do tej roli. Uarte schematy kariery mogą prowadzić wysoko, nigdy zaś na sam szczyt – idąc drogą którą szli inni rzadko kiedy potrafi zaprowadzić nas dalej.

Marszałek dzisiaj

Mówi się, że historia jest nauczycielką życia jednak ja wolę stwierdzenie, że jeżeli historia uczy nas czegokolwiek to tego, że niczego nie uczymy się z historii. W końcu zazwyczaj rządy historyków prowadzą nas do popełniania błędów przeszłości i żalosego konserwatyzmu. A naród domaga się przyszłości. Nie oznacza to jednak, że historia jest niepotrzebna – wręcz przeciwnie. Przeszłość stanowi ogromny zbiór, każdy może z niego wyciągnąć to na co ma ochotę. Istotne więc żeby wiedzieć czego w niej szukać. Myślę więc, że przede wszystkim należy szukać tego co uniwersalne, tego co może być źródłem przestrogi i pocieszenia – oraz tego co dotyczy niezmiennej od tysiącleci natury ludzkiej. Takim skarbem mogą być życiorysy wielkich ludzi, a do takich niewątpliwie zaliczał się komendant Piłsudski. Wymienione przeze mnie nauki możemy wykorzystać dzisiaj – w czasach jak nigdy podszytych beznadzieją. Żywot pierwszego żołnierza odrodzonej Polski świadczy, że na triumf czasem przyjdzie nam poczekać, kierować się drogami trudnymi. Może czeka nas samotność, a może cierpienie – nigdy natomiast nie należy porzucić walki, nigdy nie poddać się w walce o jutro. Liberalowie i ich etyka konsumpcji mówią, że mieć to być, a im więcej rzeczy mamy, im droższe, im bardziej modne są tym bardziej jesteśmy, tym pełniejsze jest nasze życie. Z kolei personaliści chrześcijańscy twierdzą, że być to kochać – roztopić się w powszechnej bożej miłości. Jeżeli mielibyśmy poszukać jakiejś głębszej zasady nacjonalizmu, takiej która łączy ponad poglądami. Nacjonalizmu postaw a nie nacjonalizmu poglądów – zasada ta brzmiałaby: być to walczyć. Do samego końca,

ostatniego tchu, wbrew szansom poza szczęściem i nieszczęściem, poza dobrem i złem. Tworzyć, mówić, działać, nieustannie stawać się, ulepszać. Cześć pamięci marszałka i niech niewzruszony żyje w naszych wysiłkach.

Michał Niecki

Michał Niecki - Rola inteligencji

Człowiek współczesny, człowiek liberalny, jüngerowski mieszczanin – jest powierzchownie przerażony radykalizmem oraz do głębi znudzony intelektualizmem. Dlatego kultura do niego kierowana nosi maskę radykalizmu, sprawnie trzymanego na smyczy zakulisowych graczy – chłodno kalkulujących specjalistów. Mata – wulgarny buntownik, głos pokolenia programowany przez prawnika, wytwórnę i korporację. Wielki kapitał, tuba atlantyckiej kultury oraz świat nauki i prawniczych elit – łącząc swoje siły nadają ton buntowi.

„To nadało słowu radykalny nieznośny mieszczański posmak, to również, mówiąc na marginesie, czyni z owego radykalizmu dochodowy interes, który stanowił wyłączną pożywkę kolejnych polityków i artystów. Oto ostateczny azyl głupoty, bezczelności i beznadziejnej nieudolności, które ruszają na łów, strojąc się wyłącznie w pawie piórka radykalnych postaw.” Pisze w robotniku Jünger.

To stawia nas w sytuacji nader trudnej, nie możemy sobie bowiem pozwolić na kompromisy ze światem mieszczańskim. Świat ten rozpatruje rzeczywistość wobec swoich kryteriów dalece obcych od nacjonalistycznej wizji. Jest on światem wielkiej elastyczności, nie dający się zniszczyć ale samemu niezdolnym do efektywnej agresji. Strajk kobiet był takim wybuchem agresji mieszczańskiej – mowa o wojnie okazała się językowym chwytem, szczytem liberalnej zdolności. Spisując wspomnienia wojenne nikt nie powtarza słowa wojna w nieskończoność. Sam fakt wybrania hasła wojny podkreślił to, że wystąpienia te nie mają z wojną niczego wspólnego.

Jest również świat mieszczan światem wielkiej dynamiki. Idee i pomysły rozbłyskują w nim z prędkością nigdzie indziej nieznaną. Podobnie jego

miłości i nienawiści – nie istnieją w nim kategorie na śmierć i życie. Miłość w tym świecie potrafi być piękną namiętnością, ale rzadko znoszącą próbę czasu. Odniesienie do taktyk seksualnych i relacji nowoczesnych ludzi opartych na aplikacjach randkowych nie wydaje się nietrafionym. Tak i jego nienawiści, po krótkiej kampanii w mediach społecznościowych gniew błędnie w obliczu prozy życiowej. Może i liberalno-lewicowy gniew kojarzymy z garstką aktywistów ale to błędny trop, większość ludzi liberalnych nie posiada przekonań, co najwyżej miewa poglądy. Robiąc przy okazji wszystko by osławione już osiem gwiazdek stało się wyświechtanym sloganem. Wiadomo przecież, a przynajmniej o ile rozpałało się kiedyś ognisko, że najlepsza podpałka nie nadaje się do budowy ogniska – w końcu to daje duży płomień spala się zbyt szybko. Nie oznacza to jednak, że ogień taki nie jest niebezpieczny – ani z drugiej strony, że nie może okazać się użyteczny.

Nie mamy złudzeń. Liberalny świat nie jest światem nacjonalistów i cała polityka narodowców oparta o umizgiwanie się temu światu jest błędem. Nacjonalizm liberalny, nacjonalizm obywatelski to ich oferta wobec świata któremu obce są pojęcia narodu czy ojczyzny. Dla nich ojczyzna jest dziedziną bibliotek i klasycystycznych gmachów otoczonych parkami. Jest przyjemną dekoracją umysłu na 11 listopada i niczym więcej. Dlatego narodowcy wkraczając w świat liberalny i mieszczański niosąc przy tym postulaty konserwatywne stali się karykaturą nacjonalizmu, bękartem konserwatyzmu i żalosną kopią liberalizmu. „Hegel powiada gdzieś, że wszystkie historyczne fakty i postacie powtarzają się (...) dwukrotnie. Zapomniał dodać: za pierwszym jako tragedia, za drugim jako farsa.” Pisał Karol Marks – co by nie sądzić, cytat nader trafny. I rzeczywiście do naszej rzeczywistości odnieść go można bardzo wyraźnie. Polityk liberalny owszem jest tragedią. Ale liberalny nacjonalista na wieki pozostanie jedynie farsą.

Niech także nie dziwi liberalny charakter lewicy, antyspołecznej i antypaństwowej. Świat mieszczański skraja na swoją modłę tak lewicę jak i prawicę oraz nacjonalistów.

Świat robotnika a świat mieszczański

Jünger wprowadza do swojej ontologii pojęcie formy bytu – z natychmiastowym rozróżnieniem na formę bytu mieszczańskiego i robotnika.

Naszym celem jest najpierw trafić do świata pracy, do świata robotnika a następnie ten świat uczynić światem wiodącym – w miejsce świata mieszczańskiego. A świat pracy jest wszędzie tam gdzie w twórczej woli i energii na froncie walki o naród wykuwa się jego siła do nieustannego marszu w historię. To świat pracownika, który stawia nowe domy – i nie jest ważne w tej kwestii, że stawia je pod deweloperskim jarzmem. To świat biegacza olimpijskiego, którego wola zwycięstwa i perfekcja ciała wiedzie naprzód – w nim zawiera się krew dawnych pokoleń i iskra która może tworzyć pokolenia przyszłe. To świat żołnierza, rolnika, inżyniera, lekarza i prawnika. To wreszcie świat pisarza, dziennikarza, intelektualisty – o ile w jego twórczości uosabia się tak jednostkowa wola mocy jak zbiorcza twórcza siła narodu. Nie musi być przy tym nacjonalistą – byleby twórczość ta niosła z sobą wartość witalną.

Słowem, wszędzie tam gdzie czyn tworzenia przewyższa nieskończone przetwarzanie. Tam gdzie działanie wypełnia istotę aktywności zamiast koncyliarnych paplanin prowadzących donikąd. Stąd mimo wielkiego szacunku wobec postaci Romana Dmowskiego i jego myśli – warto by spojrzeć na konflikt z Piłsudskim nie jako spór koncepcji, nie nawet jako spór myśliciela z działaczem. To spór nacjonalizmu okopów z nacjonalizmem parlamentu.

Na tym polu dostrzec możemy że tak jak robotnikowi, który wytwarza odpowiada mieszczanin który przetwarza, akumuluje i systematyzuje. Tam gdzie robotnik buduje domy – tam mieszczanin jedynie je zlicza i numeruje. Na polu inteligencji musi więc nastąpić przeciwstawienie liberalnemu intelektualizmowi – nacjonalistycznej inteligencji. Podczas gdy liberalny myśliciel zajmuje się reaktywnym rozmyślaniem czy wręcz przerażeniem nad rzeczywistością, inteligencja nacjonalistyczna musi czerpać ze słów i myśli ich witalną moc i tworzyć nich coraz doskonalsze struktury. W końcu postmoderniści zrozumieli, że władza nad językiem to władza nad światem i tak ochoczo uczą nas coraz nowszych słów niosących ich ideologię.

Rola nacjonalistycznej inteligencji

Potrzeba nam twórców i działaczy sfery intelektu, nie możemy próbować kopiować liberalnych form i liczyć, że trafimy tym do mieszczańskiej rzeczywistości – w ten sposób powstać może jedynie karykatura. Nie możemy też snuć przeintelektualizowanych rozważań.

Nacjonalistyczna inteligencja czerpać będzie twórczą moc z biologicznej siły, z więzi z naturą, ze służby narodowi. Z każdego dnia walki o naród – ze zwalczania przeciwności. Co powinno być reprezentacją świata przeciwnego światu mieszczańskiemu, który głosi niemoc i nihilizm. I tak właśnie nacjonalizm przez swoją inteligencję musi głosić sens, musi potwierdzać istnienie jednostki w świecie. A po potwierdzeniu miejsca jednostki utwierdzać istnienie narodu, czerpać siły do tego musi z wewnątrz. Podczas gdy twórczość mieszczańska jest twórczością reaktywną, a więc kształtowaną przez czynniki zewnętrzne, czynniki nieprzychylne – tak nacjonalistyczna musi być twórczością aktywną. W końcu gdzie w świecie jest miejsce dla narodu, który samą swoją wolą trwania nie jest w stanie wywalczyć, utrzymać i przekształcać swojego miejsca w świecie?

Tworzyć musimy tak jakbyśmy działali. Jakbyśmy nacierali. Nie mamy polemizować ani debatować. Nie interesują nas kompromisy. Twórczość taka musi nieść sobą urywki odczuć, musi być napastliwa i oskarżająca – ale w żadnym wypadku pretensjonalna. Przepięniać ją musi nienachalna poetyckość – przemawiająca do uczuć i wyobraźni. Musi nieść sobą estetykę wiosennego poranka – estetykę prostą, świeżą i pełna raczej nadziei niż wspomnień. Kulturowa kontra musi jednak narodzić się w innych warunkach niż zradzają się odłamy kultury liberalnej.

Potrzebujemy do tego celu nacjonalistycznej inteligencji, mniej akademickiej, mniej kawiarnianej od inteligencji mieszczan. Swego rodzaju inteligencji natarcia – której siła wykuwa się pod gołym niebem, wśród lasów i gór. Na otwartych terenach boisk, stadionów czy siłowni – na współczesnym froncie pracy o lepsze człowieczeństwo. Potrzeba nam tej inteligencji, potrzeba nam jej totalnej mobilizacji – dostojnego aktu tworzenia. Działanie powinno więc być wartością samą w sobie. A twórczość nacjonalistycznej inteligencji musi zasypać świat.

Nacjonalizm naszych nostalgii

Możliwe jest, że marzenia o nacjonalizmie są jedynie romantyczną tęsknotą nie mającą prawa się ziścić. Większość z nas się rozpierzchnie, garstka pozostanie – przyjdą po nas nowi, młodzi i zapaleni. Historia zatoczy koło, a świat pozostanie taki jaki był zawsze. Ani dobry ani zły – wiecznie nijaki. W końcu w dobie nieskończonego nostalgizmu obecnego w kulturze, tęsknoty za czymś czego nawet nie potrafimy zobrazować są wszechobecne. Ale historia pokazuje, że nic nie jest pewne. Że nie wszystko trwać będzie wiecznie. Że nadzieje garstki potrafią rozblysnąć w sercach milionów.

Do tego potrzebujemy nacjonalistycznej inteligencji i w niej musimy położyć nasze nadzieje. Niech nasza nostalgia stanie się nostalgią mas, odrzucimy liberalne formy, mieszczańskie drogi działania, które wiodą donikąd. Tak właśnie unieśmiertelni się nacjonalizm – na froncie twórczej walki o naród. W samym centrum świata pracy. Bez debat, bez kompromisów – rozbłyśnie światłem jaśniejszym niż słońce, zdobędzie serca milionów. Zajmie należne mu miejsce w świecie – ale należy przygotować odpowiedni grunt.

To musi stać się naszym naczelnym celem, temu działaniu musimy poświęcić się bez reszty. Tak jak nadludzką siłą przekształca się krajobrazy, z wnętrza ziemi wydobywa się surowce, tak jak z atomu wydobywa się niewyobrażalne źródła energii. Tak zadaniem inteligencji musi być nadludzkie przetwarzanie słów którymi operujemy i schematów myślenia. Język i idee muszą być nieustannie odkrywane na nowo, rozwijane niemal nadludzkim wysiłkiem.

Michał Niecki

Michał Niecki - Zadanie piękna

Żyjemy w świecie który brutalnie oddziela rzeczywistość od piękna. Zachęcani jesteśmy pustymi sloganami o pięknie do zawziętego poszukiwania go tam gdzie go nie ma. Do estetyzowania rzeczywistości obiektywnie tandetnej. Faktycznie – pewien poziom wrażliwości pozwalający wydobyć je na powierzchnię z miejsc, rzeczy, momentów potrafi być zbawienny. Cenną umiejętnością i uszlachetnieniem. Jednak czemu na tym mamy poprzestać? I szukać piękna wewnątrz zamiast pozwolić mu się uzewnętrznić. Karmieni od dziecka bzdurą o tym, że prawdziwe piękno jest niewidoczne dla oczu. Ten antyestetyczny przesąd zmusza miliony do poddania się w walce o lepsze jutro. W związku z czym godzimy się na brzydotę miast w których mieszkamy – a w ostateczności na brzydotę nas samych. Oddzielenie bytu od ciała – tragedia dzisiejszego światopoglądu. Kłamstwo Kierkegaarda jakoby człowiek w pierwszej kolejności miał się wyzwolić z wartościowania estetycznego. Rzeczywiście dzisiaj tak się stało, absolutnie pogodzeni z brzydotą patrzymy z zazdrością w przeszłość kiedy to człowieczeństwo afirmowało się tworzeniem piękna. Obiektywnego, zewnętrznego i widzialnego.

Sprzeciw Herberta wobec stalinizmu:

Nasze oczy i uszy odmówiły posłuchu

książęta naszych zmysłów wybrały dumne wygnanie

Miałość i tandeta systemu, świata, który pozbawił wszystko co zewnętrzne estetyki, a przecież komuniści tak chętnie odwoływali się do humanizmu, wydawać by się mogło, że wyzwoleni z obsesji piękna powinni być nieskazitelni etycznie – tak się jednak nie stało.

Herberta obrzydza komunizm, wywołuje w nim negatywne odczucia estetyczne – to wystarczający powód by żądać zmian, by poszukać nowych dróg. Także i my powołując się na slogan o rewolcie przeciwko współczesnemu światu, mamy pełen mandat by go skutecznie wcielić na mocy naszego obrzydzenia, naszego zawodu nad tą rzeczywistością. W końcu pierwszym odczuciem na widok parad równości jest właśnie absolutne poczucie odrazy. Dopiero potem następuje racjonalizacja.

Szkoła polska od samego początku wyniszcza poczucie piękna w młodzieży – właśnie przez język polski. Każdy pamięta powtarzane do znudzenia ćwiczenie „co autor miał na myśli?” zupełnie jakby poezja stanowiła złoty papierek noszący w sobie gorzki, moralistyczny przekaz do którego należy się dokopać za wszelką cenę. Poloniście czy polonistce przez chwilę na myśl nie przyjdzie, że wiersz może być pięknem samym w sobie, że poezja jest właśnie pięknem i stanowi rdzeń jak i powłokę dzieła.

Także wychowanie fizyczne odnosi skutki obce od tego jakie powinniśmy od niego żądać. Bo przecież to ono powinno jako pierwsze rozbudzać pragnienie piękna w jego pierwotnym, jednostkowym i biologicznym wymiarze. To też ciekawe – nakazuje się nam doceniać piękno kultury, trudno dostępne, wymagające intelektualnego zaangażowania pogardzając tym samym pięknem biologicznym. A jednocześnie, niemal bezrefleksyjnie uczy się nas o hierarchii potrzeb – gdzie kultura nie góruje nad biologią ale stanowi jej nadbudowę. Więc jak mamy docenić piękno kultury skoro nie możemy dostrzec piękna natury. W końcu mówi się o polskiej młodzieży jako pozbawionej pewności siebie, niezadowolonej ze swoich ciał – nie pozwalając jednocześnie by tę pewność i zadowolenie rozwinęła właśnie przez siłę jaka płynie z aktywności fizycznej. Zamiast tego lekcje wychowania fizycznego zniechęcają do czegokolwiek, a w szczególności niszczą przyjemność i dyscyplinę. A lewicową odpowiedzią jest jedynie promocja otyłości – na

korzyść, a także, zagranicznych koncernów żywnościowych (choć wypadałoby użyć słowa cukrowych) i liberalnego stylu życia.

Tak przeprogramowani młodzi ludzie wkraczają w dorosłość pozbawieni złudzeń i odarci z marzeń. Świat jawi się szaro, jedyną alternatywą wydaje się ucieczka. Więc młodzi ludzie uciekają, na wymiany międzynarodowe, uciekają na zachód, szukają szczęścia w podróży, w przelotnych romansach. Szukają go w życiu stłumionym używkami albo w pracoholizmie. Co tu dużo mówić. To my jesteśmy tymi ludźmi.

Dlatego częścią zasadniczą nacjonalistycznej etyki jest właśnie trening oraz lektura. I padają głosy, że trening musi kształtować dyscyplinę i charakter nie zaś wygląd, ale uważam, że motywacja estetyczna jest równie istotna. W końcu respekt wobec piękna ma swoje korzenie w biologii, a własne ciało jest pierwszym zadaniem które przed nami stoi, pierwszą wyżyną na jaką należy się wspiąć. W końcu skąd by miał brać się nasz zachwyty nad niedoścignionym pięknem antycznych sylwetek uwiecznionych w marmurze? Podobnie lektura wydawać by się mogło, że musi mieć jedynie swój wymierny i racjonalny charakter – ma poszerzać naszą wiedzę, dostarczać nowych argumentów ale tak nie jest. Jej równie istotnym celem jest wykształcenie w nas nowej wrażliwości na piękno – bo i skąd mamy czerpać motywację do poprawy losu narodu skoro nie będziemy mieć perspektywy która nakazuje nam sięgać do gwiazd? W końcu chłodna kalkulacja jest domeną liberałów według których niezmiennie prawa rynku dyktują konieczność ochrony zastanej rzeczywistości odzierając świat z kolorów.

Jeżeli więc chcemy okazać się godnymi spadkobiercami Europy musimy czerpać z antycznej wrażliwości na piękno – podczas gdy konserwatyści tęsknią za formami z przeszłości my czerpiemy z tego co wiecznie żywe. A ta estetyczna wrażliwość też musi przekładać się na całą naszą działalność, więc stronić musimy od tandety i kiczu, uważać na

brutalność bo radykalizm łatwo przeradza się w śmieszne barbarzyństwo. Grafiki, ubiór, twórczość i sposób wypowiedzenia nie może sobie pozwalać na taryfę ulgową w postaci słuszności naszej sprawy – bo słuszność naszej sprawy istnieje tylko w odniesieniu do piękna jakie wnieść musimy w naszym narodzie.

Michał Niecki

Patryk Płokita - Wiersze

Na granicy

Chciałbym napisać wiersz. Nie pisałem parę lat.
Szampan leje się, Sanah, na karaoke leci.
A na wschodzie samoloty mają bomby.
Na granicy kobiety z siekierami, i brodami,
Dmuchają dzieciom w twarz dym papierosowy.

Język poezji, zamiera w czasach atomizacji.
Dusza krzyczy, głupi rozlewa krokodyle łzy.
Pożyteczni idioci chcą być na świeczniku sławy.
Szkoda, oj szkoda... Więcej emocji! Mniej prawdy!

Więc piszę to słowa ostatnie.
A na granicy kamieniem dostaniesz.
Tylko za to, że bronisz granicy.
Swoją swoją, po nie swoje, nienawidzi...

- - -

I tylko straszą

I tylko straszą, że tam wirus, tutaj bomba.
Tam jest głód, a tu inflacji upiór.

I tylko straszą, pani w telewizji, pan na blogu,
Celebrytka, jak prorok, na Facebooku.

I tylko straszą, i od tego strachu... masz,
Skurczony żołądek, somatyzowanie ciała.

...

I tylko straszą, chowa swój smartfon,
Piłują zęby, na tiktoku - chwalą się pustą, na pokaz pasją.

I tylko straszą, i już się nie boją.
Wyłącza ekran, wyrzuca przez okno.

I tylko straszą, i już ma to w nosie.
Siedząc na ławce, paląc papierosy.

Patryk Płokita

Norbert Wasik - "Nasze kamienice, wasze ulice", czyli rzecz o mieszkaniach i zagranicznych funduszach inwestycyjnych

Znane w Polsce przed wojną powiedzonko robotników pracujących młotkiem "*Nasze kamienice, wasze ulice*" staje się niestety powoli faktem. Nie, nie za przyczyną, jak miało to miejsce w obiegowej opinii w okresie międzywojnia – Żydów. Ceny mieszkań w Polsce w ostatnim czasie rosną jak szalone. Powodem są m.in. drożejące materiały budowlane i koszty robocizny. Ostatnio doszedł jeszcze jeden ważny element – zagraniczne fundusze inwestycyjne, które kupują od deweloperów całe bloki, a nawet osiedla czy dzielnice, i to często już na etapie projektowania.

Zagraniczne fundusze kupują dziś hurtowo mieszkania w Polsce, aby je potem wynajmować. W najbliższych latach takich transakcji może być więcej. Niestety podbija to drastycznie ceny mieszkań.

Fundusze inwestycyjne – profesjonalne firmy zarabiające na wynajmie nieruchomości – jeszcze niedawno raczej omijały Polskę. Zaś rodzimi deweloperzy, co do zasady, bazowali na klientach indywidualnych. W ostatnich latach zaczęło się to jednak zmieniać. Jak ocenia Fundacja Rynku Najmu, do 2025 r. firmy będą posiadały już ok. 66 tys. mieszkań (do roku 2028 będzie to już w granicach 90-100 tys. mieszkań!)¹. Oznacza to, że właśnie o tyle skurczy się pula lokali dostępnych dla przeciętnego Kowalskiego, szukającego M na własne potrzeby. A trzeba pamiętać, że już dziś z dostępnością mieszkań jest przecież problem.

Ceny mieszkań cały czas pną się w górę, ostatnio nawet mocno przyspieszając. Ponieważ w Polsce wciąż panuje ogromny głód mieszkań, to jednak dopiero przedbiegi szła ich cen. Swoje kamyki ochoczo

dorzucają międzynarodowe fundusze inwestycyjne – vide w 2021 roku szacuje się zakupy 4 tys. mieszkań przez zagraniczne fundusze. W raporcie firmy JLL „*Rynek mieszkaniowy w Polsce. II kwartał 2021*” czytamy, że deweloperzy szykują specjalnie pod wynajem ponad 24 tys. mieszkań². Eksperci szacują, że do 2023 r. liczba wynajmu mieszkań od firm wzrośnie do niemal 23 tys., a do 2025 r. nawet do 66 tys.³. Rynek najmu instytucjonalnego dopiero się w Polsce rozwija. Ale obserwując liczbę podpisywanych kontraktów i aktywność funduszy zagranicznych, można powiedzieć, że jeszcze nigdy nie był tak ożywiony. Deweloperzy coraz chętniej wyprzedają zachodnim funduszom inwestycyjnym całe pakiety mieszkań. Skalę zjawiska trudno ocenić, jednak zdaniem prasy branżowej już teraz są powody do niepokoju⁴. Wiceprezes holdingu działającego w obszarze nieruchomości HRE Investments Michał Cebula ocenia, że **nawet 15-20 proc. nowych mieszkań trafia w ręce firm żyjących z wynajmu** (dane JLL dla 7 największych miast w Polsce)⁵. W rzeczywistości ten odsetek może być jeszcze wyższy, bo nie wszystkie dane o transakcjach są przecież ujawniane.

Dzisiaj banki na rynku mieszkaniowym jeszcze nie ma, natomiast są silne czynniki, które mogą zachwiać rynkiem za kilka lat. Można spodziewać się, że jeśli władze nie będą temu zjawisku przeciwdziałać, to fundusze będą nabywać coraz więcej lokali. Pokazują to dobrze przykłady z innych krajów – w Niemczech najwięksi gracze na rynku posiadają już setki tysięcy mieszkań.

Nie trudno zauważyć, że przejmowanie polskich mieszkań przez zagraniczne fundusze mogą – i to notabene powodują – znacząco podnieść i tak galopujące już ceny nieruchomości w Polsce. Miało już do tego dojść przecież w Wielkiej Brytanii czy Niemczech, gdzie przeciętny obywatel nie może pozwolić sobie na zakup własnych czterech kątów, wobec czego ogranicza się do najmu. Weźmy Wielką Brytanię: tamtejszy urząd statystyczny twierdzi, że w latach 2005-2021 czynsze najmu rosły tam... około 4 razy szybciej niż wynagrodzenia. Podobnie było w

Niemczech, gdzie w latach 2008-18 czynsze rosły dwa razy szybciej niż pensje. Do tego w ostatniej dekadzie w Berlinie większość nowych mieszkań to były lokale, które nabyli inwestorzy kupujący hurtowo⁶. Tak więc, z jednej strony duże firmy dokonujące masowych inwestycji mogą proponować wyższe czynsze, z drugiej zakupy nieruchomości na taką skalę z dużym prawdopodobieństwem spowodują wzrost cen na rynku pierwotnym.

Bez wątplenia na ingerencji w rodzimy rynek mieszkaniowy zagranicznych funduszy inwestycyjnych tracą osoby prywatne wynajmujące mieszkania oraz tzw. *flipperzy* czyli ludzie, którzy jednorazowo, okazjnie kupili mieszkanie, odnowili je i sprzedali z zyskiem. Natomiast deweloperzy – notabene tak samo jak fundusze inwestycyjne – na pakietowej sprzedaży tylko zyskają. Nic dziwnego, że coraz częściej pojawiają się głosy, by ograniczyć tego rodzaju zakupy funduszy inwestycyjnych z obcym kapitałem, bo zmniejsza to podaż mieszkań na rynku i winduje ceny. Głośno było ostatnio o przeprowadzonym referendum w Berlinie, gdzie fundusze inwestycyjne praktycznie zdominowały rynek wynajmu i dyktują czynsze najemcom. Berlińczycy postanowili więc zaprotestować⁷.

Nasuwają się tutaj niemal samorzutnie pytania. Czy powstanie największy w Polsce właściciel mieszkań. Czy podmiot z taką przewagą konkurencyjną nie zagrozi samym najemcom? Czy nie będzie on dyktował nierealnych, zawyżonych cen? Czy w wyniku jego działalności część mieszkańców zostanie pozbawiona możliwości wynajęcia mieszkania o powierzchni odpowiadającej potrzebom danej rodziny? Podobnych pytań możemy mnożyć w nieskończoność. W tej sytuacji władze państwa bezsprzecznie i niezwłocznie powinny zareagować wprowadzając rozwiązania, które przyhamują niczym nieskrępowane ambicje funduszy inwestycyjnych. Ponieważ żyjemy w kraju gospodarczo opartym niestety na jałowym kapitalizmie lub jeżeli ktoś woli wolnym rynku (w którym króluje bezduszne i czysto materialistyczne traktowanie

człowieka), to rząd nie może lub/ i nie chce wprowadzić zakazu hurtowego skupowania mieszkań, limitów sprzedaży, nakazu wynajmowania lokum, czy zakazu sprzedaży mieszkania niedługo po zakupie. Ciekawym jednak pomysłem wydaje się tu być np. powrót i powiększenie bazy mieszkań przewidzianej wyłącznie dla tzw. własności komunalnej, który daje najemcom niezbędną pewność, że ich mieszkania będą na stałe w segmencie tanich. Inną propozycją jest *ustawowy* zakaz sprzedaży mieszkań przez spółdzielnie mieszkaniowe podmiotom gospodarczym. Należy również eliminować tzw. pustostany związane z inwestycjami, ze spekulacją lub je najzwyczajniej rozsądnie opodatkować. Warto nadmienić, że pustostan w tym kontekście to nie opuszczony budynek, a najzwyczajniej mówiąc nowe mieszkanie zakupione przez inwestora, które stoi puste ze względów inwestycyjnych (kupione przez fundusze mieszkania stoją często puste, gdyż inwestorzy czekają na wzrost ich wartości). Tutaj bez wątplenia powinna nastąpić prewencyjna już interwencja państwa. Jednym z możliwych rozwiązań jest wprowadzenie podatku katastralnego od np. czwartego lub piątego mieszkania. Oznaczałoby to, że np. od piątego mieszkania pobierany byłby nie podatek od nieruchomości, a właśnie podatek katastralny, uzależniony wprost od wartości danej nieruchomości. Równocześnie równoległe do wyżej już wspomnianego podatku katastralnego warto zastanowić się na wprowadzeniu progresywnego podatku, tutaj również w zależności od liczby posiadanych mieszkań. Oba proponowane rozwiązania w żadnym wypadku nie mają obciążać zwykłych ludzi, którzy mając jedno mieszkanie, odziedziczyli drugie np. po rodzicach lub dziadkach, a chcą je wynająć do czasu, kiedy dorosną ich dzieci. Chodzi o dużych graczy, którzy wpływają na to, że ceny mieszkań w wielu miastach oraz w ich w otoczeniu, rosną z dnia na dzień. To trzeba zatrzymać!

Kolejną możliwością jest wprowadzenie podatku od zysku ze spekulacji – dodatkowymi opłatami mogłyby zostać obciążone hurtowe transakcje sprzedaży mieszkań, które niedawno zostały zakupione. Jeśli mieszkanie stoi puste – to również powinien powstać odpowiedni paragraf/ przepis

zmuszający zagraniczne fundusze inwestycyjne do dodatkowych opłat. Broń Boże ww. propozycjach nie chodzi o tzw. szukanie pieniędzy u rodzin, które kupują mieszkanie dla dziecka, a które chwilowo stoi puste, czy czeka aż dziecko osiągnie dorosłość – tu nie chodzi o opodatkowanie takich sytuacji. Należy jednak wyeliminować osoby które ewidentnie zajmują się spekulacją, mają dużą liczbę mieszkań i one stoją puste – takie mieszkania powinny być opodatkowane. Nie powinny to być jednak pieniądze o tyle dla Skarbu Państwa, tylko powinny być stworzone odpowiednie narzędzia, żeby samorzady mogły te podatki ściągać, tym samym zyskując je dla własnych potrzeb. Gminy odpowiadałyby za weryfikację do kogo tak naprawdę należy nieruchomości – do spekulanta czy do rodzimego interesu lub zwykłego mieszkańca/ mieszkańców (vide interesy rodzinne). Samorzady ściągałyby nowe, dodatkowe opłaty, które trafiałyby do lokalnego budżetu. A gminy mieszkalnictwem zajmują się przecież na wielu poziomach, pieniądze te mogłyby być przeznaczone na budownictwo komunalne, czy socjalne. Rząd często się do niego dorzuca, ale gmina musi mieć wkład własny – mogłaby go pozyskać właśnie z nowych opłat nałożonych na spekulantów.

Idąc dalej należy rozważyć wprowadzenie przepisów mówiących o konieczności przekazywania przez deweloperów części budowanych mieszkań do zasobów komunalnych. Będzie to jedna z prób powstrzymania zagranicznych funduszy inwestycyjnych od masowego wykupywania mieszkań w dużych miastach, ale nie tylko.

Wydaje się, że mamy do czynienia z kryzysem mieszkaniowym, stąd potrzeba nadzwyczajnych środków na jego zażegnanie. Stąd też chociażby konieczność postulatu zwiększenia kwoty wydatków na budownictwo mieszkaniowe.

Zwiększenie środków na mieszkalnictwo należy przeznaczyć w pierwszej kolejności na wsparcie budownictwa społecznego – następnie należy tak postąpić z kwotą powiększoną o uzyskane zwroty z czynszów. Umożliwi to budowę kolejnych dofinansowanych mieszkań. Podmioty budownictwa społecznego (TBS, spółdzielnie bądź spółki) będą budować

mieszkania na wynajem dla osób o średnich zarobkach niezależnie od państwa, przy wsparciu kredytowym z funduszy państwowego Banku Gospodarstwa Krajowego. Niemniej to już temat jakby na oddzielny artykuł.

Zagraniczne fundusze inwestycyjne wykupują mieszkania w Polsce powodują, że bańka na rynku mieszkaniowym cały czas rośnie, a kupione lokale trafiają na wynajem lub czekają jako pustostan wyłącznie w celu spekulacji i podniesienia w ten sposób jego wartości. W zeszłym roku ceny nieruchomości wzrosły średnio o 11%, a jednak popyt w związku z tym wcale nie spada⁸. Nie oznacza to jednak, że ludziom żyje się lepiej i stać ich teraz na mieszkania. Rynek mieszkaniowy napędzają wciąż ci więksi inwestorzy. Czy państwo, dbając o interesy zwykłych obywateli stanie na wysokości zadania i postawi temu tamę, czy też tradycyjnie ulegnie lobby międzynarodowych funduszy?? Jaka by nie padała odpowiedź na postawione pytanie, jako środowisko narodowo-radykalne nie powinniśmy oglądać się na rządzących, tylko przedstawiać społeczeństwu własne rozwiązania, czego w jakimś sensie dotyczy w swej wymowie popełniony artykuł. Oczywiście w żaden sposób nie wyczerpuje one zagadnienia, niemniej – jak sądzę – stanowi przyczyłek do dalszej wewnątrzśrodowiskowej dyskusji programowo-ideowej. Taki też zresztą był/ jest jego zamiar. **Myśl i czyn!**

Norbert Wasik – urodzony w 1976 r. w Zakopanem. Absolwent Kolegium Jagiellońskiego - Toruńskiej Szkoły Wyższej. Manager związany z sektorem FMCG. Dumny mąż i ojciec. Publicysta, działacz społeczny i narodowo-radykalny. Zwolennik idei zero waste. Autor książki „Rozważania nad współczesnym narodowym radykalizmem”. Biegacz amator, fan długich dystansów, maratonów i biegów ultra. Pasjonat historii, gór i góralszczyzny. Idealista, romantyk i pragmatyk w jednej osobie, entuzjasta innowacji i nowych technologii.

PRZYPISY:

1. *Fundusze hurtowo kupują mieszkania*, www.rp.pl/
2. *Analizy Puls Biznesu. Na rynku najmu jest coraz więcej inwestorów*, www.pb.pl/
3. *Fundusze inwestycyjne wykupują co 5. mieszkanie. Coraz trudniej kupić M na własne potrzeby*, www.regiodom.pl/
4. *Ibidiem.*
5. *Kupują całe osiedla na etapie dziury w ziemi. Fundusze polują na okazje w Polsce*, www.wyborcza.biz/biznes
6. *O mieszkania będziemy musieli konkurować z zagranicznymi firmami. Jedna kupiła na raz 1000 lokali*, www.innpoland.pl/
7. *Berlin odkupuje 15 tys. mieszkań od funduszy. Powstaną mieszkania komunalne*, www.nieruchomosci.wprost.pl/
8. *Bańka nie chce pęknąć*, www.tygodnikprzeglad.pl/